№ 27. Warszawa, dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Pańskie oko konia tuczy.

DO A. D.

Od wiek wieków w naszym kraju,
Było zawsze we zwyczaju,
Gospodarzyć starym ładem,
I tym rządzić się przykładem;
Że choć w polu rodzi zboże,
Że choć w stajni i w oborze,
Że choć w gumnie i w osieci
Jest porządek u waszeci,
Lecz nie zawsze siedź tam w chacie,
Bo przysłowie stare uczy:
Baczność, pilność, panie bracie!
Pańskie oko konia tuczy.

Gdy tam zaśpisz, to i słudzy,
Domownicy — swoi, cudzy,
Zechcą użyć sobie wczasu
I nawarzą dosyć kwasu,
Orka, siewba mają daty,
Nie dostrzeżesz — czekaj straty;
Z sianokosem gorsza bieda
Chwytajże się, bo deszcz nie da.
Od dobytku, który macie,
Nie powierzaj zbytnio kluczy:
Baczność, pilność, panie bracie!
Pańskie oko konia tuczy.

Z procesami znowu licho,
Bo któż u nas siedzi cicho;
Bez nich zawsze świerzbi skóra,
Taka nasza już natura.
Ej te kłótnie! ej procesy!
Te ziemiańskie interesy!
Często na ich ukończenie
Czeka trzecie pokolenie.
A czy w sądzie, czy w urzędzie,
Nim ci proces nie dokuczy,
Baczność, pilność, bo to wszędzie!
Pańskie oko konia tuczy!

Nie wierz zresztą i dziewczynie,
Bo jak fircyk się nawinie,
To jej włożą mirt na głowę,
Tobie liście harbuzowe.
Ej bo latać już się lenisz!
A gdy zresztą się ożenisz!
To, by ustrzedz się od wrogów
I nie nosić na łbie rogów,
Niech twa jejmość siedzi w chacie,
Niech się hasać już oduczy,
Baczność, pilność, panie bracie!
Pańskie oko konia tuczy.

Autor pamiątek z Litwy.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

W ten sposób byliśmy długo w działalności ciągłej a jednak w izbie panowała cisza głęboka, przerywana tylko od chwili do chwili jękiem chorej, szelestem mojej sukni i przyciszonemi krokami młodego lekarza. Zrzadka bardzo zamienialiśmy się kilku cichemi słowami. On, podawał mi przyrządzone przez się środki zaradcze i kilkoma szybkiemi wyrazy wskazywał sposób ich stosowania, ja spełniałam jego zlecenia, podnosiłam głowę chorej osuwającą się z szarych poduszek, powtarzałam mu ciche i mnie tylko zrozumiałe jej skargi.

Dziwne to były godziny i dziwnie poczęta znajomość. Przy pierwszem na siebie spojrzeniu nie zamieniliśmy z sobą najlżejszego nawet z ukłonów tych i pozdrowień, które rozpoczynają zazwyczaj wszelkie stosunki ludzkie. Nie wiedzieliśmy jedno o drugiem ani kim jesteśmy, ani jak się nazywamy a jednak byliśmy ściśle stowarzyszeni ku jednemu celowi, wzajem sobie pomocni i we wzajemnem żądaniu pomocy zupełnie ku sobie śmieli. Mnie, na myśl nie przyszło zapytać ceremonialnie: „dla czego pan się tak trudzisz dla nieznanej ci kobiety?" ani jemu powiedzieć mi grzecznie: „O! nie zadawaj pani sobie tak ciężkiej fatygi! sparzysz sobie rączkę tym gorącym garnkiem albo miksturą tą splamisz suknię!" Nieraz w spazmie bólu, chora rzuciła się gwałtownie na łożu a z za rozchylonej bielizny ukazało się brunatne, nagie jej ramię albo pierś zapadła, drgająca cierpieniem. Na widok ten nie przyszło mi na myśl zawstydzić się ani jemu dyskretnie odwrócić oczy. Brutalność nędz fizycznych zniknęła nam z oczu w obec powagi pełnionego obowiązku. Możnaby powiedzieć że połączonemi ramionami naszemi odpychaliśmy nadchodzącą śmierć. Czułam że nieznani sobie przed chwilą, łączyliśmy się coraz ściślej, we wspólnem uczuciu litości.

Trwało tak kilka godzin. Słońce stoczyło się na tę stronę nieba ku której zwrócone były okna domóstwa. Czerwone chusty okrywające szyby zapałały jak szkarłatne płomienie, po ścianach i podłodze izby rozesłały się jaskrawe łuny.

Chora usnęła, oddech jej stał się łatwym i równym, po czole uspokojonem spłynęły obfite strumienie potu.

Młody lekarz pochylił się nad łożem, wsłuchał się w oddech, wpatrzył się w rysy chorej i rzekł ścicha: Uratowana!

Być może iż było to złudzenie optyczne sprawione

bogactwem świateł które obejmowały schyloną jego głowę, ale mnie się zdawało że twarz okrył w tej chwili wyraz wielkiej, zamyślonej, nieco radości a wpół spuszczone oczy posiadały blask potężny i zarazem słodki. Zwyciężył śmierć.

Co do mnie odetchnęłam z głębi piersi. Gdyby pora i miejsce były po temu, zaśpiewałabym była pełną piersią hymn rozgłośny, na cześć nauki i jej pracowników, ale że możność tajenia silnie uczutych wrażeń nie leżała nigdy w mej naturze, podeszłam szybko do nieznanego przyjaciela mego i wyciągnęłam ku niemu otwartą rękę. Uścisnął ją szczerze, silnie, po męzku i po bratersku i przez chwilę zatrzymał ją w swej dłoni.

— Dziękuję pani, rzekł przyciszonym głosem i z wracającą mu widocznie nieśmiałością którą spostrzegłam była przy pierwszem nań spojrzeniu lecz która potem, w czasie krzątania się wspólnego około chorej zniknęła.

— Za co mi pan dziękuje? zapytałam, w szczególny jakiś sposób wzruszona.

— Za to, rzekł głośniej nieco i śmielej, że u wstępu na drogę życia i pracy spotkałem kobietę dobrą i dzielną.

Nie odpowiedziałam nic, ale krótkie te słowa sprawiły mi wrażenie wcale inne, niż to którego doświadczałam, ilekroć który ze spotykanych dotąd młodych ludzi, wyrzekł do mnie jeden z banalnych komplementów, sławiących wdzięki me i talenty. Słysząc komplementy podobne, miewałam zawsze ochotę rozśmiać się albo coprędzej uciec, teraz uczułam że twarz moja oblewała się płomieniem i przez chwilę jak przykuta do miejsca, stałam w nieprzezwyciężonej bezwładności.

Marta i Julisia nieśmiało zajrzały do izby. Zawołałam je ścicha, a młody lekarz zaleciwszy im pozostać przy chorej, krótkiemi i jasnemi słowy nauczył je jak mają czuwać nad nią i z nią postępować.

Wyszłam z izby. Wyszedł też przed chatę wraz ze mną i młody lekarz. Spojrzeliśmy na siebie przy czystem świetle dnia i uśmiechnęliśmy się oboje. Nie wiem jaka myśl czy jakie uczucie wywołały uśmiech ten na świeże i cienkie wargi jego, które drgnęły lekko, ja, czułam się wzruszoną i szczęśliwą w sposób, jaki nigdy przedtem nie byłam, w sposób który objawić się musi koniecznie uśmiechem lub łzą.

Powolnym wahającym się ruchem, podnosił rękę do kapelusza, chcąc mię zapewne pożegnać. Uprzedziłam jego słowa.

— Idziemy w jedną stronę, rzekłam, bo przypuszczam że dwaj młodzi panowie których widziałam na łące...

— Są w istocie towarzyszami mej wędrówki, przerwał. Jeżeli pani pozwoli, dokończył, pójdziemy razem.

Nie mogłam nie spostrzedz że był nieśmiałym i niewprawnym w prowadzenie rozmowy z kobietami. Widocznie, był to jeden z młodych tych ludzi, którzy pierwszą młodość swą całą spędziwszy w ubogich, zamkniętych mieszkaniach i w salach Uniwersyteckich, przywykli więcej do milczenia i myślenia niż do mówienia.

Milczeliśmy parę minut. Towarzysz mój pierwszy zaczął rozmowę.

— Czy mogę zapytać, rzekł, jakim sposobem znalazła się pani w chacie tej chorej wieśniaczki?

Przypomniałam sobie dziki, ogromny wieniec którym jeżyły się wciąż jeszcze moje włosy, rzuciłam okiem na suknię dziwacznie przyozdobioną gałązkami choiny i gwiazdami ostów które się jej uczepiły gdy przez las biegłam, i zarumieniłam się znowu. W tej samej chwili on spojrzał na mnie; dostrzegł zapewne rumieniec mój i widziałam jak z za ogorzałej cery jego twarzy przebija również różowa barwa i szybką falą obiegła mu policzki i czoło.

Przemogłam zmieszanie i zawstydzenie moje i śmiejąc się rzekłam:

— Z ubioru mego poznać pan może że przyszłam z lasu...

Zaśmiał się także.

— Byłażbyś pani, odrzekł ośmielając się coraz, jednem z tych bóstw litewskich lasów, których ja i towarzysze moi, jako ludzie pozytywni, nie spodziewaliśmy się ujrzeć w wędrówce naszej po kraju.

— Mam pretensyą być także kobietą pozytywną i w mitologie żadne nie wierzę, zaśmiałam się znowu.

Potem, odpowiadając na pierwsze pytanie jego, powiedziałam mu jaki stosunek łączył mię ze starą Praksedą, jak chodząc po lesie spotkałam zrozpaczoną jej wnuczkę, która wzywała mię na ratunek swej babki, bo młody pan, co mówił że jest doktorem, jako człowiek cudzy, nie budził jej ufności.

Z nazwy „człowieka cudzego" i nieufności Julisi zaśmieliśmy się oboje.

— Dziewczyna ta, rzekł wyraziła niewiedząc o tem, sposób widzenia całej warstwy narodu do której należy. Lud nasz w istocie, nie ma pojęcia o tem czem jest nauka, nie szanuje i nie ufa tym którzy mu ją na usługi przynoszą. Nie ma zdaje się, w kraju naszym, stanowiska trudniejszego a więcej unikanego, jak stanowisko wiejskiego lekarza i to właśnie skłoniło mię że je sobie obrałem.

— Myślisz więc pan zamieszkać na wsi? zapytałam żywo zaciekawiona psychicznem zjawiskiem, skłaniającem człowieka do obierania sobie stanowiska jakiegoś dla tego właśnie że było ono najtrudniejszem i najpowszechniej unikanem przez wszystkich.

Nie zaraz otrzymałam odpowiedź. W tej chwili właśnie znaleźliśmy się w tem miejscu łąki gdzie wieniec wierzb starych okrążał wzniesienie gruntu i gdzie przed kilku godzinami widziałam siedzących dwóch młodych turystów. Nie było ich tu teraz. Snać nie mogąc doczekać się towarzysza, puścili się sami na oddaloną przechadzkę. Pod wierzbami stały jednak małe stalugi okryte rysunkowym papierem i leżały rozrzucone teki i zielniki.

Młody lekarz spojrzał na opuszczone obozowisko i stanął.

— Nie ma ich! zawołał, poszli zapewne szukać pięknych widoków albo rozmawiać we wsi z włościanami! Tem lepiej!

Ostatni wykrzyknik ten wydarł mu się z ust mimowoli.

Dźwięczało w nim dziecinne prawie uradowanie. Poskoczył i złożył pod wierzbami dość ciężkie swe lekarskie pudło które dotąd niósł pod ramieniem. Spostrzegłam była wprzódy iż było ono oprawne w ciemną skórę i miało na wierzchu złoconą cyfrę A. S. Nie zapytał mię wcale czy pozwalam mu iść dalej ze sobą. Formy towarzyskie były mu snać mało znane albo też w tej chwili na myśl mu nie przychodziły. Nie raziło mię to wcale. Byłam także oryginałem, dziewczyną dziko wyhodowaną w starym mrocznym, samotnym domu ideologa i mizantropa, jak zwano ojca mego.

— Tak pani; zaczął w sposób taki jakby rozmowa nasza wcale przerwaną nie była, mam zamiar osiąść w jednym z najustronniejszych, najbardziej zapadłych kątów naszego kraju.

Tu wymienił mi nazwę okolicy w samem sercu Polesia położonej. Nie słyszałam o niej nigdy, żaden atlas geograficzny nic o niej nie wiedział.

— Przed rokiem niespełna skończyłem nauki medyczne, czas ten przeszedł mi w wielkiem mieście. Myślałem zrazu że tam będę już żył i dalej, ale przekonałem się iż wyobrażenia i obowiązki moje pociągają mię gdzieindziej.

— Przebacz mi pan, przerwałam, ale dziwi mię to trochę. Wielkie miasta są ogniskami cywilizacyi. Byłbyś tam pan u źródła nauki i najszlachetniejszych ze wszystkich artystycznych uciech.

— To prawda, odparł, ale zarazem żyćbym musiał w gwarze tłumu i wstrętnej dla mnie walce o chleb powszedni. Ognisko to cywilizacyi, jak je pani nazywasz, jest także ogniskiem wielu pokus niebezpiecznych dla młodości, walk jałowo zużywających siły i współubiegań się niekoniecznie uczciwych. Uczyć się można a może nawet i łatwiej w ciszy i samotności. Uciech artystycznych które w istocie mają dla mnie wiele powabu wyrzekłem się z przykrością wprawdzie ale możnaż wszystko razem na świecie posiadać?

— A bogactwo i sława? zapytałam, w zapadłym kącie zdobyć ich niepodobna.

Podniósł szybko głowę i spojrzał na mnie ze zdziwieniem, z wyrzutem prawie.

— Nie dla tego uczyłem się, odparł, aby posiąść bogactwo i sławę. Byt niezależny posiadać będę zawsze w mej pracy, sławą, jeżeli przyjdzie ona kiedy, nie wzgardzę zapewne. Ale są to wszystko rzeczy drugorzędne. Głównem pragnieniem mojem jest abym w czynie wypełnił myśl która panować ma nad mem życiem.

— Jakąż jest myśl ta? zapytałam.

— Niezmordowanie zdobywać wiedzę i obracać ją na pożytek ludzki, odpowiedział.

Podniósł głowę i spojrzał w górę. Oczy jego błyszczały, na czole i twarzy rozlał się dumny spokój. Nie było już w nim teraz ani cienia uprzedniej nieśmiałości. Mówiąc o tem co mu snać było najdroższe, zapomniał że rozmawia z nieznaną kobietą.

Weszliśmy do lasu. Przed nami biegła leśna droga, niknąca w dalekiej odległości. Z obu jej stron stały zrzadka wyniosłe sosny a pomiędzy niemi słał się mech puszysty i olbrzymie krzaki paproci roztaczały zębiaste liście. Dziś jeszcze pamiętam że mech wydawał się wtedy złotym od słońca stającego się ku zachodowi, a wierzchołki sosen ciemne były i nieruchome. Na drzewach wieszały się giętkie wiewiórki i zdala trwożliwie ku nam poglądały. Powietrze było bardzo ciche, kiedy niekiedy tylko poruszane ciepłym powiewem, przynoszącym z głębi lasu mocną woń żywicy i miodu.

Do obu stron drogi przytykało wiele bocznych drożyn i ścieżek. Jedna z nich przerzynając las ukośnie, wiodła ku dworowi. Zjawiające się nad nią krzaki malin, zwiastowały bliskość drzew liściastych. Niedaleko też ztamtąd, pomiędzy ciemne sosny mieszać się zaczynały brzozy wysmukłe i osiny z drżącemi liśćmi; zamiast paproci słały się po ziemi krzaki poziomkowe i pełzały gałęzie dzikiego bluszczu. Ciemny, milczący bór ustępował przed lasem pełnym blasków, półcieni, szelestów liści, wrzawy ptaków i szmeru strumieni ciekących po kamieniach, wśród kalin i niezabudek.

Około tej to bocznej drogi była w miejscu jednem łąka mała i nizka, z wartkim strumieniem, zrzadka zarosła olchami. Łąka, strumień, olchy... zupełnie jak w poemacie i tak jak w poemacie nad strumieniem, na pniu złamanej olchy siedziało w dniu owym dwoje młodych ludzi.

Nie śmiej się, Klementyno! Drobnego tego epizodu życia mego nie myślę nazywać poematem. Przecież, naprawdę, była to jakaś strofa poetyczna.. krótki czterowiersz—kto wie czy z początkowej strofy, wywiązaćby się nie mógł poemat długi jak dwa

życia ludzkie, gdyby... alboż ja wiem? gdyby mi wszystko to nie zniknęło było z przed oczu, jak sen szybko i bez śladu!

Kto wie? czy czasem w jednej strofie życia nie zawiera się więcej ogni które potem zagasnąć musiały, więcej pragnień nieziszczonych i mimowolnych westchnień ku szczęściu, niż w całej, długiej jego pieśni.

Zboczyłam z drogi i pierwsza usiadłam na złamanem drzewie, u samego prawie brzegu szemrzącej wody. Wiedziałam że ztamtąd niedaleko już są ogrodowe wrota a nie chciałam jeszcze pożegnać się z nowym mym znajomym.

On usiadł naprzeciw mnie, na nizkim kamieniu. Rozmawialiśmy już teraz z ożywieniem wielkiem! O czem? Nie zgadłabyś nigdy. Młody lekarz mówił mi o nauce której chciał całe życie poświęcić. Kochał on ją z fanatyzmem młodości, z zapałem człowieka który sam nie wiedząc o tem ma w sobie tłumioną skłonność do marzeń. W rozwoju i ostatecznych wynikach wiedzy widział on ostateczną przyszłość ludzkości. Z ideą tą wiązał wszystkie inne idee i ideały: dobrobytu i dobroci, potęgi i szczęścia ludzi. Na idei tej budował przyszłość i świata i swoją. Dla tego wyrzekał się świetności cywilizowanego świata, nadziei bogactwa i sławy i zamknąć się zamierzał na długie zapewne lata w ciemności i ciszy wioskowej.

— Potem, rzekł, kiedy jak powiadają wszyscy, siły ustają i zapał gaśnie, nie zdołałbym może podźwignąć trudnego zadania. Teraz, gdy zaledwie odszedłszy od źródła nauki, posiadam jeszcze dla niej miłość całą i niepokalaną gdy umysłu mego nie dręczy powątpiewanie żadne a siły fizyczne niczem starganemi nie są... nie mogę uczynić nic, według mnie, lepszego i ważniejszego.

Wyrażał się ciągle po prostu i zwięźle. To co mówił, tyczyło się rzeczy realnych, po ziemsku pojętych, takich które wydaćby się nawet mogły wielu ludziom prozaicznemi i poziomemi. Mnie jednak zdawało się że słyszę wierne echo gorącego jakiegoś hymnu, który śpiewałam oddawna we własnem sercu.

Wiedza, litość, ważne zbiorowe sprawy ludzkie i poświęcenie całego siebie dla nich, były to wyrazy które wstrząsały zawsze wszystkiemi strunami mej piersi. Odnajdowałam je w ustach jego, wymawiane z tym samym akcentem jaki ja nadałbym im pragnęła. Czułam też że w skroniach uderzały mi tentna przyśpieszonem biciem, że rumieńce oblewały mi twarz co chwilę, chociaż przyczyny ich nie znałam i nie badałam.

Raz utkwił w twarzy mej długie spojrzenie, pełne myśli jakiejś gwałtem tłumionej. Potem, pochylił głowę i zamyślił się. Mnie serce uderzało silnie. Podniósł nakoniec głowę, usta jego drgnęły jakby chciał coś powiedzieć. Nie powiedział nic, spojrzenia tylko nasze spotkały się i długo oderwać się od siebie nie mogły...

Klementyno! jakże nazwać wzruszenia te, bóle i rozkosze które powszechnie nazywają się miłością, jak przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę i wiarę, jeżeli spojrzenia takie jak było tamto nie zobowiązują do niczego... jeżeli wszystko to czego doświadczyłam w godzinach owych zrodzić się może w życiu, trwać chwilę i umrzeć — bezpłodnie.

Szybkim ruchem zdjął kapelusz a podnosząc twarz i rozglądając się dokoła, wymówił.

— Jak pięknie dziś na świecie!

Powstaliśmy z miejsc naszych i poszliśmy dalej drogą ku dworowi. W drodze uderzony nagłą myślą, uczynił szybki, gniewny jakby gest ręką.

— Dla czego ja tu nie byłem przed dwoma miesiącami? zawołał. Mógłbym był zamieszkać w tej okolicy!

— A teraz? zapytałam z mocnem biciem serca.

— Teraz, odpowiedział. Związany jestem przyrzeczeniem, obowiązkami które na siebie przyjąłem. Niepodobna!

— Niepodobna! powtórzyłam cicho.

Wielki smutek spadł na mnie od wyrazu tego, którym najczęściej bodaj! kończą się poetyczne strofy każdego życia.

Stanęliśmy w początku owej ulubionej mojej drogi nad Niemnem. Z miejsca tego można było ogarnąć okiem niżej nieco położony, wielki ogród dworski i dostrzedz długi szereg szarych kominów domu.

Spojrzałam na dwór i na towarzysza mego.

— Czy pan nie zechcesz odwiedzić ojca mego? zapytałam. Nie odpowiadał przez chwilę. Patrzał w ziemię i wahał się długo.

— Przebacz pani, odparł podnosząc głowę energicznym ruchem, nie mogę...

Do ostatniego wyrazu tego nie dodał komentarza żadnego. Nie usprawiedliwiał niczem niemożności której ja zrozumieć nie mogłam. Wyciągnął tylko do mnie otwartą dłoń. Uścisnęliśmy sobie ręce silnie, szczerze, tak jak przed dwoma godzinami w chacie Praksedy i... po jednym dniu spędzonym razem, rozstaliśmy się na zawsze.

Jeden dzień spędzony razem, jeden obowiązek połączonemi siłami dopełniony, kilka zamienionych myśli szlachetnych i spojrzeń pełnych brzasku miłości któraby może mogła być namiętną i jak życie trwałą, oto cała i jedyna romantyczna historya mojej przeszłości. Innej nie miałam nigdy.

Nie pozostało mi po niej nawet imię człowieka, który wplątał ją w moje życie, nakształt ognistego płomyka rzuconego na przestrzeń oświetloną trzeźwem światłem dziennem. Jedynemi wiadomościami które miałam o nim były dwie litery zaczynające pewno imię i nazwisko jego i to także iż wydał mi się najpiękniejszym z pomiędzy wszystkich spotykanych dotąd ludzi, że myślał tak jak ja myślałam, kochał to co ja kochałam i że... gdyby ta oderwana strofa mego życia nie przebrzmiała była tak prędko i tak bez echa, mogłabym kochać szalenie i być szczęśliwą bez granic..

Nie mam czasu dziś dłużej pisać. Przez otwarte okna dochodzi mię głos Michała który powraca od swych zajęć i jak zazwyczaj, ma mi zapewne mnóstwo rzeczy do powiedzenia. Dziatwa też moja, od godziny już zaglądać zaczęła do pokoju mego, niecierpliwiąc się długą mą nieobecnością przy niej. Dla napisania Ci tych kilku arkuszy, poświęciłam przez parę dni tę parę przedpołudniowych godzin w których zwykle maluję i czytam. Teraz, zbliża się godzina obiadowa. Trzeba mi zasiąść do stołu z domową gromadką moją a wprzódy jeszcze zobaczyć czy wszystko jest w porządku. Potem, z przechadzki zajdę na pocztę i wyślę pod twym adresem ten niedokończony pamiętnik.

Dalszy ciąg jego otrzymasz wkrótce.

Marya.

(d. c. n.)

Pieśń duszy.

Pragnę światła dla ludzkości
By rozproszyć błędne mary,
Chcę dla serc bratniej miłości,
Dla umysłów świętej wiary.
Chcę do życia nowej siły,
Chcę martwego wskrzesić ducha,
Dźwignąć go z wątpień mogiły,
Niechaj głosu prawdy słucha —
Dusza niech dąży do Tego
Co przez miłość zbawia ludzi,
Co dał światu Syna swego,
Co nadzieje w sercach budzi,
Co unosi myśl w przetworze,
Co nam każe kochać wroga,
Co zapala ranne zorze,
Do ojca życia, do Boga.

Eliza R.

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część druga.

Ceylan.

(Dalszy ciąg).

Potwór znajdował się ode mnie najwyżej w odległości pięciu kroków.

Wydawał chrapliwe ryki kręcąc się w kółko z wielką szybkością.

Łodygi ziół, trzciny i młodych drzew ścięte były jakby kosą potężnym jego ogonem. Gdyby nie spieszna ucieczka, to prawdopodobnie byłby to ostatni dzień naszego żywota.

Nareszcie obrzydliwy płaz padł nieruchomy na ziemię, tak że bez najmniejszego niebezpieczeństwa mogliśmy go obejrzeć z blizka.

— Oddawszy społeczeństwu przysługę, przez zabicie obrzydliwego gadu, rzekł pan Duphot, mamy prawo pomyśleć o rozrywce. Każdy więc z nas ma prawo wedle upodobania zająć się polowaniem na wodne ptastwo. Szczególniej zwróćcie panowie waszą uwagę na ceranki, zdolne zachwycić podniebienie największych łakotnisiów paryzkich.

Przyjęliśmy z radością uczynione przedstawienie, ale pomimo najszczerszej chęci nie wprowadziliśmy go w czyn, bo pamiętając o kulach zapomniano wziąść drobnego szrutu. Chcąc nie chcąc trzeba było wracać do domu, ale przyrzekliśmy sobie, że nazajutrz rano udamy się wszyscy razem na brzeg czarującego jeziora. Nadzieja ta jednak była zwodna, bo wieczorem nadbiegł posłaniec dając znać, że okręt nazajutrz wypływa do Indyi.

Dwaj oficerowie zniewoleni byli nas opuścić. Odprowadziliśmy ich do Point-de-Galles żałując szczerze, że okoliczności pozbawiają nas liczniejszego towarzystwa.

Klimat i węże są postrachem dla wszystkich Europejczyków zamierzających zwiedzić Indye.

Klimat w Indyach jest bardzo rozmaitym. Ogromny ten pas ziemi, ciągnący się z jednej strony od gór Himalajskich aż do Ceylanu a z drugiej od zatoki perskiej aż do kresów Birmanu, przedstawia najrozmaitszy stan powietrza.

W prowincyach wschodnich; jak naprzykład w Curnatie i w Malayalam, znajdują się pustynie piaszczyste, gdzie gorąco dochodzi od 38 do 42 stopni.

W ogóle Europejczykom radzę pomijać te strony, bo nawet Indyanie zamierają tam nagle pod wpływem silnego działania słońca.

Okolice Malabaru i Koromandelu chociaż narażone są na podobną spiekę, dają jednak dosyć miły przytułek podróżnym, a to dzięki peryodycznemu ruchowi powietrza od strony morza, trwającemu codziennie od godziny 2 po południu do późnej nocy. Powiew jednak wiatru sięga niedalej w głąb lądu jak na dwadzieścia mil francuzkich; dalej ruch powietrza jest przerywanym, nieznacznym, a często całe miesiące trwa najspokojniejsza cisza.

W takim razie mieszkańcy zniewoleni są wywoły-

wać sztuczny ruch powietrza za pośrednictwem wachlarzy nazywanych paukah. Bez tego środka nie byliby zdolnymi do żadnego zajęcia. Osoby jednak bogatsze spędzają zazwyczaj miesiące letnie w górach Nielguezy, gdzie z powodu wzniesionego położenia klimat jest daleko chłodniejszym.

Na wyspie Ceylan chociaż barometr wskazuje bardzo wysoką temperaturę, skwar jednak słoneczny nie jest zbyt przykrym, a to z powodu ciągłych wiatrów od strony morza. Wypada jednak nadmienić, że prawie codziennie padają lekkie deszcze, odświeżające ziemię i nadające nocom w tamtych okolicach wdzięk nieokreślony.

Wzgórza położone w środku Indyi jak naprzykład w Bengalu, w Bombay'u i t. d., prócz czterech miesięcy letnich gdzie panują wielkie gorąca, posiadają inne pory roku tak piękne, że nawet wiosny europejskiej nie można z niemi stawić w porównaniu.

Powyżej Benares, Delhi, Lahore, w miarę zbliżania się ku wielkiemu łańcuchowi gór, spotykamy po raz pierwszy prawdziwą zimę, obfitującą szczególniej w okolicach Cachemiru i Boutan w śniegi i lody niedozwalające często przejazdu podróżnym.

Okolice północne Indyi są niepodległe. Dotychczasowe usiłowania Anglików do zawładnięcia temi krainami były bezskuteczne. Posłane w tym celu oddziały wojska wycięto w pień. Anglicy są niezwyciężeni w walce z bezbronnymi mieszkańcami południa, ale inna rzecz zupełnie z dzielnymi synami północy. Nie przeszkadza to jednak, że dzienniki wychodzące w Kalkucie, każdorocznie zapowiadają niezawodne podbicie Butanu, Cebulu lub Kaszmiru, ale odgróżki te dotychczas zostają na papierze.

Zdobycie tych krain dopiero wtenczas będzie możliwem, skoro Anglicy zdołają tam znaleźć punkt oparcia, tworząc jako przyjaciele stronnictwo przychylne dla siebie za pośrednictwem przekupstwa. Wysokie jednak poczucie godności narodowej jest dotychczas tarczą ochraniającą mieszkańców stron północnych od podobnego upadku moralnego.

Ludność ta odznaczona wielką czerstwością ducha, jest zarazem obdarzoną niepospolitą siłą fizyczną.

Byłem raz świadkiem na targu publicznym jak dwóch żołnierzy angielskich targowało owoce u jednego z przekupni wychodzącego z północnych Indyi. Ponieważ nie mogli dojść do porozumienia co do wysokości zapłaty, żołnierze przeto uznali za właściwe zabrać towar za darmo. Wypadki takie były dosyć częstemi i zazwyczaj mieszkańcy znosili cierpliwie podobne nadużycia. Inna rzecz była z synem niepodległego pokolenia. Nietylko dognał on żołnierzy i odebrał im owoce, ale nadto obił ich tak przykładnie, że ci w podartych ubraniach z sińcami na twarzy uciekli zawstydzeni, tając prawdopodobnie zaszły wypadek przed swemi towarzyszami.

Co do chorób zagrażających europejczykom, to te są różnego rodzaju i różnej mocy.

Do najpospolitszych zaliczyć należy zapalenie wątróby, dysenteryą i żółtą febrę. Wczesny jednak wyjazd w okolice gór Himalaya lub do Europy przecina stanowczo dalszy rozwój choroby. Tak nazwane słabości zapalne są prawie ni eznanemi w Indyach.

Największą należy zachować ostrożność w zabezpieczeniu się od działania promieni słonecznych. Biada roztargnionemu nie zwracającemu uwagi, że ma do czynienia ze słońcem indyjskiem. Śmierć gwałtowna połączona ze straszliwemi cierpieniami będzie następstwem każdej nieostrożności.

Z rozmysłu nie wspomniałem dotychczas o cholerze, owej chorobie nazwanej *azyatycką*, którą konecznie doktorzy europejscy wyprowadzają z nad brzegów Gangesu. O ile jest w tem prawdy to nie umiem wyrazić pewnego zdania, wiem tylko że ze wszystkich innych choroba ta jest najmniej groźną dla podróżnych. Dosyć są jednak częste wypadki śmierci z tej przyczyny, pomiędzy ubogiemi mieszkańcami Indyi, nie mającymi ani ubrania, ani pożywienia, ani mieszkania odpowiedniego w epoce deszczów. Większa w tej mierze staranność zabezpiecza stanowczo od wzmiankowanej choroby. Co do mnie, to nietylko nie widziałem, ale i nie słyszałem o żadnym Europejczyku dotkniętym cholerą.

Z kolei przechodzimy do wężów o których z takiem przerażeniem wspomina wielu podróżnych. Gdyby przyszło wierzyć rozmaitym w tej mierze opisom i opowiadaniom, to niepodobna byłoby mieszkać w Indyach z powodu drapieżnych zwierząt, a szczególniej z powodu szkodliwych płazów. Zapewniają niektórzy, że każdemu stąpnięciu, każdemu wyciągnięciu dłoni zagraża ukąszenie a następnie śmierć niechybna. Zdarzyło mi się nawet słyszeć opowiadanie, że jeden z podróżnych znajdował codziennie w pantoflach skorpiony a okularniki pod łóżkiem.

Jest to przesada, do której nie trzeba przywiązywać wiary. Wprawdzie w Indyach jest bardzo wiele płazów, których jad zabija człowieka w ciągu jednej minuty, ale na szczęście obrzydliwe te stworzenia są nadzwyczajnie trwożliwe, które za najmniejszym szmerem uciekają, myśląc nie tyle o ukąszeniu, ile o własnem bezpieczeństwie.

Raz w czasie polowania nad brzegami jeziora Ouisodou, przez nieuwagę przydeptałem okularnika.

Niebezpieczny ten wąż dokładał wszelkich usiłowań do wydobycia się z niespodzianej niewoli. Skoro dostrzegłem z kim mam do czynienia z największym przestrachem odskoczyłem na bok. Oswobodzony płaz nie myślał wcale o ukąszeniu mnie, ale uciekał z szybkością do jakiej tylko był zdolnym. Wielokrotnie byłem świadkiem podobnych wypadków. Węże obdarzone są nadzwyczajnie bystrym słuchem. O sto kroków posłyszą szmer kroków idącego człowieka i natychmiast uciekają do swoich kryjówek. Z tej przyczyny zdarzyło mi się polować całe dnie nie dostrzegłszy ani jednego płazu, chociaż niewątpliwie byłem niemi otoczony ze wszystkich stron.

Przytoczę jeszcze jeden przykład:

Miałem z sobą ślicznego pieska bonońskiego, którego początkowo strzegłem bacznie z obawy aby nie być ukąszonym przez węża. Zwolna jednak widząc, że niebezpieczeństwo nie jest tak groźnem, zostawiłem mu zupełną swobodę. Biegał też zapamiętale po gęstwinie ścigając szczury, myszy polne i kameleony. Pomimo tego nigdy nie był ukąszonym, co przypisuję tej jedynie okoliczności, że w swych wycieczkach szczekał ustawicznie, a tem samem płoszył rozmaite gady ze swej drogi.

Należy jednak wyznać, że noce w Indyach są daleko niebezpieczniejsze. W tej bowiem porze rozmaite stworzenia szkodliwe wychodzą na żerowisko, a tem samem i spotkanie z niemi łatwiejsze. W Indyach jednak nie ma zwyczaju przechadzania się przy blasku księżyca po polach i lasach.

W czasie mego pobytu w Indyach, nie słyszałem nigdy aby europejczyk ukąszonym był przez węża. Indyanom trafiają się częściej podobne wypadki, ależ należy nadmienić, że mieszkają zazwyczaj w gęstwinach lasów i chodzą boso, tak że kroki ich na murawie nie wydają prawie żadnego odgłosu.

Streszczając wiadomości dotyczące indyjskiego klimatu, podam niektóre rady hygieniczne oparte na doświadczeniu.

Najprzód trzeba mieszkać na piętrze w obszernych pokojach z szerokiemi oknami, bo obfitość powietrza jest nieodzowną dla zdrowia. Mieć dobrze urządzone wachlarze pokojowe: kąpiele zimne brać należy dwa razy dziennie, a unikać kąpieli ciepłych jako osłabiających. Podczas dnia nie wychodzić nigdy z domu między godziną dziesiątą rano a trzecią po południu, a w razach wyjątkowych nie czynić tego nigdy bez gęstego i szerokiego parasola. Przy jedzeniu używać wina, a za zwykły napój wodę zmieszaną z niewielką ilością koniaku. Nie należy jeść wiele mięsa, szczególniej wołowiny i baraniny zbyt tłustej; zwierzyna jest bez porównania zdrowsza. Nareszcie ostatnia rada zależy na tem: aby unikać jak najstaranniej angielskich lekarzy, z których wielu nie posiada nawet nauki dostatecznej dla weterynarza.

W czasie mego pobytu w Kaltnie, korzystając z dokładnej znajomości języka tamulskiego i indostańskiego wypływających bezpośrednio z Samskrytu, odwiedzałem często mieszkania indyjskie, badając życie domowe mieszkańców.

Wycieczki podobne nie przedstawiają najmniejszego niebezpieczeństwa, bo krajowcy odznaczeni są nadzwyczajną łagodnością obyczai. Zabójstwa i złodziejstwa tyle powszechne w ucywilizowanej Europie, są nieznanemi na wyspie Ceylan, z wyjątkiem miast gdzie przebywa ludność napływowa.

Prawa gościnności są święte i wykonywane na szeroki rozmiar, tak że ubogi odda budę całą na usługi podróżnego, a bogaty pałac ze służbą godną dworu królewskiego. Znając dobrze obyczaje Indyan i stosując się do takowych, nie obrażając niczem ich wyobrażeń religijnych, a przytem mówiąc dokładnie językiem narodowym, przyjmowany byłem wszędzie z największą uprzejmością, a nawet sądzę że pozostawiłem w tamtych okolicach wielu szczerych przyjaciół.

Przechadzki moje kierowałem głównie ku wsi Tembapoor położonej o kilka mil odległości, otoczonej lasem i zamieszkałej po większej części przez ludność zajmującą się uprawianiem cynamonu. Ustawiczny jej stosunek ze wspaniałą przyrodą i zwierzętami dzikiemi rozmaitego rodzaju, rozwinął w niej nadzwyczajnie żle zmysł poetyczny, objawiany szczególnie w tysiącznych legendach, jedne cudowniejsze od drugich, jakich nieraz słuchałem z nadzwyczajnem zajęciem do późnej nocy.

Zatrzymałem się najczęściej u Kassiapy zwierzchnika wioski, a zarazem naczelnika całej kasty nazywanej Tchaleas. Poczciwy Kassiapa przyjmował mnie bardzo gościnnie racząc hojnie różnemi łakotkami indyjskiemi.

Z powodu tego stosunku byłem świadkiem obrzędu religijno rodzinnego, mającego na celu uświęcenie dojrzałości jednej z córek mego indyjskiego przyjaciela.

Na kilka dni przed moim wyjazdem z Kaltny, zobaczyłem Kassiapę przyozdobionego we wszystkie oznaki swej godności, wjeżdżającego z pychą na podwórze.

Po zwykłem powitaniu, zapytał mnie czy to prawda, że wyjeżdżam z Kaltny.

— Tak jest, odpowiedziałem, dodając wedle zwyczaju miejscowego, że księżyc zmieni niezliczoną liczbę razy swoją postać, a smutek spowodowany o puszczeniem przyjaciela nie zmieni swej mocy.

— Dlaczego wyjeżdżasz?

— Jest to rzeczą nieodzowną.

— Jeżeli doznajesz jakiej niedogodności w Kaltnie, to przyjedź do Tembapoor, gdzie dom Kassiapy oddanym będzie na twoje usługi.

— Zniewolony jestem zwiedzić Pondiszery i północne strony stałego lądu.

— Czy powrócisz?

— Nie wiem.

— A zatem niech cudowny Gauthama, syn Buddy

ma cię w swojej opiece, niech służba twoja będzie zajętą od rana do wieczora przygotowaniem smacznych potraw; niech ciało twoje bez wielkiego wysilenia utrzymanem będzie w największej czystości; niech duch wód przyjazny dla podróżnych oddala wpływ szkodliwy potępieńców, jeżeliby ci zamierzali naruszać twój spoczynek nocny.

Zwykły to sposób żegnania odjeżdżających. Widząc że mój gość umilkł, odpowiedziałem mu odpowiednio do zwyczaju miejscowego.

— Niech Yakchasy słudzy Couver'y (bożek bogactwa) czuwają nad powodzeniem twej rodziny; niech opieka dobroczynna oczyszcza każdą kroplę wody jakiej użyjesz do obmycia twego ciała; niech po śmierci twej syn najstarszy dopełni ceremonii żałobnej, a stos na którym spalonem będzie ciało twe, otoczonem zostanie przez liczne grono potomstwa pierwszego i drugiego stopnia.

Uczyniwszy zadosyć przepisom grzeczności indyjskiej mogliśmy dalej rozmawiać swobodnie.

Kassiapa zawiadomił mnie, że na moją cześć zamierzył urządzić ucztę, na którą przybył zaprosić mnie tak imieniem własnem, jakotéż imieniem innych mieszkańców wioski mnie znajomych. Zebranie przyjacielskie będzie tem uroczystsze, że jednocześnie dopełnionym będzie obrzęd dojrzałości jego córki najstarszej.

Przyjąłem zaproszenie z prawdziwem zadowoleniem, zrobiwszy obietnicę przybycia w dniu następnym o godzinie oznaczonej.

Stosownie do umowy, Kassiapa przysłał nazajutrz wspaniałą lektykę przyozdobioną odpowiednio do okoliczności w piękną kopułę ułożoną z naturalnych kwiatów. Wygodny to nadzwyczajnie sposób odbywania podróży, bo w lektyce stosownie do upodobania można stać, leżeć lub siedzieć na materacach wyrobionych z indyjskim przepychem.

Trudno sobie wyobrazić zręczność i szybkość posługaczy niosących lektykę. Można ich chyba porównać ze słynnemi biegaczami starożytności, przebiegającymi odległości tak wielkie, że trudnoby im dać wiary, gdyby nie dzisiejsi ich koledzy indyjscy spełniający czyny podobne. W mieście Pondiszery byłem wielokrotnie świadkiem, że posłańcy z listami uskuteczniali pieszo podróż sześćdziesięciu mil francuzkich, w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Po wzięciu kąpieli, pożywienia i dwugodzinnego wypoczynku, byli zdolni odbyć powtórnie *przechadzkę* podobnego rodzaju. Należy jeszcze zwrócić uwagę na skromność ich posiłku, którego główną podstawą jest ryż, a napojem czysta woda.

Chcąc pokrzepić siły posługaczy dodanych do mej osoby, uraczyłem ich hojnie napojem kokosowym, to też zdwojonym krokiem zmierzali do celu naszej podróży. Przed wejściem do wioski zawiedli głosem donośnym jakąś pieśń dzikiej harmonii, czem ostrzeżony gospodarz wyszedł na moje spotkanie i tryumfalnie poprowadził ku swemu domostwu.

Z chwilą wejścia do jego mieszkania, nagle obił się o moje uszy straszliwy wrzask kilku instrumentów muzycznych. Gong, tamtam, tebunis albo gitara o dwóch strunach i pewnego rodzaju skrzypce z epoki patryarchów, wydały na moją cześć tak przeraźliwe brzęczenie, że byłbym uciekł chętnie, gdyby nie obawa wyrządzenia gospodarstwu niezasłużonej przykrości.

Mieszkańcy Ceylanu nie mają najmniejszego wyobrażenia o elementarnych nawet zasadach muzyki. Orkiestra jest dla nich tem lepszą im większą czyni wrzawę; postępują też odpowiednio do tej zasady.

Skoro dyrygujący uderzy dwa razy w dłonie, co jest znakiem do rozpoczęcia gry, wówczas każdy ze składających orkiestrę stara się, aby instrument będący w jego posiadaniu zagłuszył inne. Zwycięztwo zazwyczaj otrzymuje wielki bęben, posługujący w dnie powszednie do przypomnienia mieszkańcom o potrzebie złożenia podatku. Huk i brzęk przeraźliwy działają widać silnie na nerwy psów, bo te zwabione niezwykłym hałasem, rozpoczynają właściwą sobie muzykę, to jest wycie, co w związku z dźwiękiem instrumentów czyni dziwne wrażenie na słuchaczach. Jest rzeczą wielce pochlebną dla muzykantów, skoro wieść się rozejdzie, że psy poruszone były w okolicy na pięć mil w około.

Czyż nie jest rzeczą widoczną, że zwierzęta czworonożne na wyspie Ceylan, mają więcej rozwinięty zmysł muzyczny aniżeli ich panowie?

Chciałyby one zagłuszyć wyciem swem niemiły brzęk, a tymczasem ludzie pod wpływem takowego wpadają w pewien rodzaj uniesienia, objawiającego się w sposób dosyć dziwaczny, bo chwytają rozmaite przedmioty metalowe, jak garnki, patelnie, rożny, rynki i t. p. a uderzając niemi silnie, starają się powiększyć nieznośną wrzawę jakby chcieli ogłuszyć wszystkich zebranych. Im dłużej trwa podobna muzyka, tem jest rzeczą widoczniejszą, że gospodarz chciał otoczyć większą czcią zaproszonego gościa.

Wyjętą chustką z kieszeni zatykam sobie uszy, dając do zrozumienia bliżej stojącym, że to jest zwyczaj przyjęty w Europie, pomimo jednak tego środka zabezpieczającego i całej siły woli nie można było wytrzymać dłużej, i chciałem już pod pierwszym lepszym pozorem wyjść z sali przyjęcia, ale na szczęście na dany znak przez gospodarza wszystkie instrumenta muzyczne umilkły, a sprzęty kuchenne położone zostały na właściwem sobie miejscu.

Dano znać że młoda Wairamy, córka Kassiapy, wyszła ze świątyni i w otoczeniu księży i dziewic udaje się do rodzicielskiego domu. Okoliczności tej zawdzięczałem przerwanie prawdziwych tortur dla moich uszów.

Obrzęd dojrzałości w Indyach jest zaiste godnym opisania.

W dniu umówionym młodziutkie panienki, którym w Europie nadanoby nazwę podlotków, prowadzą bohaterkę uroczystości do świątyni Buddhy lub Brahmy odpowiednio do wyznania. Dotychczasowa jej ochmistrzyni, składa na rzecz duchownych podarunki odpowiednio do majątku rodziców w spisie których pomieszczone są zazwyczaj: kosztowne kamienie, perły, wyroby jedwabne, a nawet młody słoń jeżeli przyszła poślubiona należy do rasy królewskiej.

Dziewica zbliżając się do ołtarza powinna trzymać w ręku młodego gołąbka, którego skrzydła nie zostały jeszcze należycie rozwinięte do lotu.

Karupal czyli starszy duchowny zabija biedną ptaszynę na ołtarzu, piecze ją na trójnogu złotym, a poświęciwszy daje młodej serce do zjedzenia mówiąc:

— Kobieto, niezadługo wejdziesz do mieszkania twego małżonka; dziewica Avany bogini miłości czystej oznaczyła już chwilę właściwą.

Bądź zawsze cnotliwą, a radość nie opuści nigdy twej zagrody.

Bądź niewinną w twych myślach, a chorobę zniesiesz bez boleści.

Bądź uległą a nie stracisz przywiązania męża.

Otaczaj miłością jego krewnych, a znajdziesz w nich drugą rodzinę.

Nie zapominaj przy każdej zmianie księżyca o należnych ofiarach dla świątyni.

Skoro Karupal przechodzić będzie koło twego mieszkania, napełnij jego kieszenie, bo towarzyszy mu błogosławieństwo Boże.

Obrzęd w ten sposób dopełniony jest wedle przepisów Buddhy, co zaś do obrządku Brahmy, to zachodzi pewna różnica, tak co do formy, jakoteż i co do wskazanych zasad moralności małżeńskiej.

Najprzód nie gołąbek, ale mały koziołek jest zabitym na ołtarzu, a po upieczeniu i pobłogosławieniu go, wszyscy obecni spożywają wydzielony im kawałek.

Następnie Brahma przemawia wskazując młodej dziewicy jej obowiązki. Rozwiniętą jest zasada najzupełniejszej zależności kobiety. Całe życie ma być pozbawioną własnej woli. Powinna słuchać ojca, później męża, a po jego śmierci syna, brata, lub najbliższego krewnego. Powinna kochać męża i uważać go za pół bożka, nawet wtenczas, kiedy ten postępowaniem swojem zasługuje na ogólną wzgardę. Pod żadnym pozorem nie wolno jej zawrzeć powtórnych związków małżeńskich.

Tego rodzaju moralność zaczerpnięta widocznie z czasów najdawniejszych, rozwinięta jest szeroko przez Brahmę, przybranego teatralnie i używającego giestów, przypominających ludzi dotkniętych cierpieniami nerwowemi.

Po ukończeniu obrzędu religijnego, procesya wychodzi ze świątyni, obchodzi takową trzy razy w koło i prowadzi pannę do domu rodzicielskiego.

Odpowiednio do przyjętego zwyczaju, Kassiapa przyjął w progu córkę i duchownych obrządku Buddhy. Każdego z nich obdarzył kielichem z drzewa sandałowego, półmiskiem i rądlem srebrnym, aby mieli w czem gotować ryż i zjeść go przyzwoicie.

Następnie zbliżyli się Fakirzy po należną im dań składającą się z ryżu, napoju z drzewa kokosowego, płótna i nowych turbanów.

Po odejściu nareszcie różnych deputacyi winszujących i odbierających podarunki, Wairamy jakotéż młode jej towarzyszki, przystroiły głowy i szyje wszystkich zebranych w wieńce uwite z różnorodnych kwiatów, i nie żałowały pachnideł oblewając niemi nasze ręce i ubrania.

W trakcie tego, przeklęta muzyka rozpoczęła na nowo swój wrzask przeraźliwy, a na domiar nieszczęścia zaproszeni goście całą siłą swoich piersi, zaczęli śpiewać pieśń na cześć gospodarza domu, jego potomstwa i jego przodków.

Trwało to prawie całą godzinę.

Nareszcie nastąpiła tyle upragniona przerwa, ale niestety chwilowo tylko, bo muzykańci i śpiewacy pokrzepiwszy nadwerężone siły, rozpoczęli nową pieśń ułożoną na cześć moją.

Byłem w prawdziwem osłupieniu słysząc w pierwszych dziesięciu zwrotkach opowiadaną historyę mego życia w Europie. Trudno byłoby zliczyć wiele zabiłem potworów, płazów i zwierząt drapieżnych.

Nie dosyć na tem, bo pokonałem jeszcze gromady upiorów, czarodziei i dyabłów w naturalnej postaci. Co najzabawniejsza, że osoby zebrane widocznie całe opowiadanie uważały za prawdę, bo patrzyły na mnie z jawnemi oznakami uwielbienia i podziwu Niech to będzie dowodem jak bujną jest imaginacya na Wschodzie.

Pieśń we wskazanym kierunku prawdopodobnie trwałaby jeszcze bardzo długo, ale na szczęście znałem obyczaje indyjskie i sięgnąwszy do kieszeni wydobyłem z niej garstkę srebrnych pieniędzy. Dałem każdemu rupię srebrną, wartości na naszą monetę dwa franki pięćdziesiąt centymów.

Skromny ten dar zapewniał każdemu żywność przynajmniej na dni dziesięć, to też przyjętym był z oznakami najżywszej radości.

Oprzytomniawszy trochę po opisanym huku,

wrzasku i brzęku, zwróciłem wzrok ku płci pięknej, której słusznie w Indyach należy się ta nazwa pomimo cery brązowej.

Szczególny zwyczaj został zaprowadzonym od wielu wieków, że kobiety skromne mają stanik skrojony w ten sposób, że ich gors jest zupełnie odkrytym, a przeciwnie, zakrytym starannie u kobiet znanych z pogardy opinii publicznej. Wszelkie usiłowania Anglików dążące do zmiany podobnego zwyczaju okazały się daremnemi.

Wytrwałość kobiet była silniejszą od uchwał gubernatorów.

Poruszyły mężów i braci tak dalece, że ci w podanych prośbach do rządu Wielkiej Brytanii oświadczyli stanowczo, że jeżeliby się targnięto na dawny obyczaj narodowy, to odmówią stanowczo składania danin i podatków.

Jednocześnie Indyanki czyniące zadość postanowieniu gubernatora, otoczono wzgardą ogólną i wyłączono ze swego towarzystwa. Wytrwałość godna lepszej sprawy uwieńczoną została powodzeniem, bo parlament zniósł uchwały gubernatorów, dozwalając mieszkańcom przechowywać dawne obyczaje w istocie nie przynoszące nikomu najmniejszej szkody.

Na uroczystości rodzinnej u Kassiapy zebrana płeć piękna korzystała w całej pełni z udzielonego im przywileju, kuchnia zaś indyjska jako zaprawiająca wszelkie potrawy bardzo mocnemi korzeniami, nie usposabia wcale do ascetyzmu, ja zaś miałem z dwóch stron siedzące obok mnie dwie młode i nader powabne Indyanki, łatwo więc pojąć, że przez obiad cały myśli moje dalekie były od szranek wszelkiej filozofii.

Po ukończeniu obiadu, zastawionego z prawdziwym przepychem, przeszliśmy do ogromnego namiotu. Skoro wszyscy zajęliśmy miejsca, nagle światła zagasły, tak że pogrążeni zostaliśmy w najzupełniejszej ciemności. Ale nagle odsunięto grube sztuki materyi, stanowiące ściany zewnętrzne namiotu i naraz oblały nas strumienie światła płynącego z wioski uiliminowanej bogato jakoteż z ogni bengalskich i fajerwerków gęsto puszczanych.

(*d. c. n*).

Kronika Naukowa.

przez **H. K.**

Selen w obec światła.

Wpływ światła na ciała stałe, nie mówiąc o jego tak jawnem, przeważnem działaniu na rośliny, według spostrzeżeń i zdań dawniejszych uczonych, uważany był jako zupełnie powierzchowny, polegający na oświetleniu przedmiotów i nic więcej; gdy bowiem światło niknie, przedmiot acz niewidzialny, jednakim pozostaje.

Fotografia wprawdzie zdanie to podkopała, gdyż przekonała, że sole srebra wystawione na działanie światła szybko się rozkładają, i to w miarę siły jego promieni. Toż samo i sóle zwane fosforyzującemi, ze światła w ciemność przeniesione, nabierają od jego wpływu własności świecenia różnemi barwami. Obecnie Dr. Siemens ciekawe zrobił odkrycie co do szczególnego działania światła na Selen, i podał cały szereg zajmujących doświadczeń przez siebie czynionych.

Selen jest pierwiastkiem, czyli ciałem prostem, niezłożonem, z własności swoich nieco do siarki i fosforu podobnem. Jest on najgorszym przewodnikiem elektryczności i przedstawia się w masie bezkształtnej (amorfnej) z odłamem muszlowatym. Jednak przy temperaturze 100° stopni, zmienia swą budowę bezkształtną na krystaliczną, i staje się lepszym przewodnikiem.

W telegrafie używają selenu w kształcie podłużnych pałeczek kiedy chcą postawić silny opór strumieniom elektrycznym, albowiem jak mówiliśmy, bardzo złym jest przewodnikiem. W roku 1875 Willoughby Smith wykrył iż owe pałeczki selenowe, gdy przez czas dłuższy na słońce są wystawione, zupełnie źle działają, i o tem zawiadomił główne bióro telegraficzne w Londynie. Ale nie zważano na to. Dopiero teraz, Dr. Werner Siemens, wziąwszy się do badania tego faktu, odkrył szereg arcyszczególnych fenomenów, które w przyszłości kto wie jakie znaczenie mieć mogą.

Dla badań swych urządził on, przez siebie nazwany, element selenowy, niby jak element albo ogniwo stosu galwanicznego. Jest to krążek złożony z dwóch drutów platynowych spiralnie skręconych, tak że jeden obejmuje drugi ale się nigdzie nie stykają, a między niemi znajduje się selen amorfny; wystające druty z obu końców, służą do połączenia tego elementu selenowego z biegunami stosu.

W takim stanie ów element jest zupełnie złym przewodnikiem elektryczności, ale gdy ze stanu amorfnego przechodził w krystaliczny przez zanurzenie na czas pewien w wodzie wrzącej, stawał się czułym. Umieszczony w skrzynce ciemnej i połączony ze stosem galwanicznym, już sprawiał małe zboczenie strzałki galwanometru, ale gdy skrzynkę odemknięto i promień słońca puszczono na element selenowy, natychmiast galwanometr znacznie większe przewodnictwo selenu okazywał. Trzymany w cieple 210° stopni i zwolna ochładzany, stawał się już prawdziwie dobrym przewodnikiem, zaś światło słoneczne o piętnaście razy własność tę zwiększało natychmiastowo, wykazując szczególną czułość selenu na jego działanie.

Inne doświadczenia wykryły równą czułość selenu na zabarwione promienie, a właściwie na barwy. Każda jednak inaczej nań działa. To działanie Siemens wyraził w następnym liczbowym stosunku: Ultrafioletowy 130, fioletowy 148, niebieski 158, żółty 178, czerwony 188. Rozumie się iż jest tu mowa o barwnych promieniach z rozłożonego widma słonecznego.

Ale w tych doświadczeniach pojawiła się prawdziwie zadziwiająca okoliczność. Element selenowy na dłuższe działanie światła wystawiony; widoczne okazuje znużenie, czułość swą utraca stopniowo, co się objawia powolnym powrotem igły galwanometru do zera. Znużenie to przemija jednak po kilku godzinach spoczynku w zupełnej ciemności. wszelako zupełna, pierwiastkowa czułość wraca dopiero po dniach kilku.

Nie jeden może, lekceważąc podobne drobiazgowe badania i odkrycia, zapytać zechce: do czego służą one, jaki jest ich cel praktyczny? W nauce nic teraz się nie lekceważy, nic nie jest małem; to co dziś małem się być zdaje, jutro znaleźć może olbrzymie jakieś zastosowanie. Gdy Papinowi pękł garnek żelazny w którym wodę gotował, dla tego iż szczelnie był zamknięty; któż wtedy mógł pomyśleć że ta nieznana na wówczas siła co rozsadza garnek, dziś będzie głównym motorem pracy mechanicznej na całej kuli ziemskiej? Gdy sto lat temu bawiono się wywoływaniem iskierki elektrycznej trzepiąc lisim ogonem krążek siarki lub smoły, z pewnością nie myślano że ta sama iskra będzie w jednem mgnieniu oka przenosić myśl ludzką z jednego końca świata w drugi, że za jej pośrednictwem Europa z Ameryką rozmawiać będą, jakby były na kilka kroków od siebie oddalone, że stanie się źródłem najpotężniejszego światła, oraz środkiem lekarskim. Z takich to odkryć, zrazu pozornie nic nie znaczących, tworzy się wspaniały i olbrzymi gmach nauki, od której rozwój i postęp cywilizacyi zależy.

Chociaż odkrycie to bardzo jest niedawnem, już na zasadzie tej dziwnej na światło czułości selenu, urządzono niezmiernie dokładny fotometr czyli światłomierz; a Siemens obmyślił przyrząd bardzo ciekawy, oka sztucznego.

To sztuczne oko składa się z kulki szklanej opatrzonej dwoma otworami naprzeciw siebie leżącemi pierwszy zamknięty wypukłą soczewką szklaną, a drugi zatyczką z krążkiem selenowym, połączonym za pomocą drucika z małym stosem galwanicznym i galwanometrem, dwie blaszki ruchome, niby powieki, soczewkę szczelnie okrywają. Zatem owa kulka szklana przedstawia gałkę oczną, selen siatkówkę na dnie jej umieszczoną, naprzeciw soczewki przez którą wpada światło. Gdy przed soczewką umieści się ekran biały i skieruje się nań promień światła, to po otwarciu owych ruchomych blaszek niby powiek, strzałka galwanometru natychmiast się odchyli, okazując stopień czułości siatkówki selenowej; ekran czarny wywołuje ruch strzałki zaledwie dostrzegalny, niebieski sprawia małe jej zboczenie, żółty większe, a największe czerwony; rozumie się że po białym promieniu.

Oko to sztuczne, jakby chcąc zupełnie naśladować naturalne, oprócz czułości na światło i barwy, okazuje także i znużenie po dłuższem wystawieniu na światło, w skutek którego odpoczywać musi przez zamknięcie powiek i pozostawanie w ciemności. Siemens sądzi iż zdoła tak urządzić mechaniczne powieki, iż te pod wpływem owego znużenia same zamykać się będą. Fizyologia której zadaniem jest wytłomaczenie funkcyi organizmu, z tego dowcipnego przyrządu niemało zapewne skorzysta.

Korespondencya ze Lwowa.

Gdyby liczba zadrukowanych arkuszy papieru stanowiła miarę produkcyi literackiej, nietylko niemielibyśmy w tej chwili powodu do narzekania, lecz owszem wypadłoby czasy dzisiejsze nazwać wcale świetnemi. Drukuje i wydaje się u nas teraz bardzo dużo, ale wszystko to jest jednodniową literaturą. Z powodu wojny każdy dziennik zyskał po kilkaset prenumeratorów, a ponieważ mamy we Lwowie trzy dzienniki, więc dziś o tysiąc kilkaset ludzi więcej niż dotąd prenumeruje coś i czyta. Gdyby była rękojmia, że ci nowi prenumeratorowie zostali już stanowczo pozyskani dla literatury, bodaj dziennikarskiej, byłaby to zawsze korzyść niemała, bo dziennik stanowi niejako pierwszy stopień lektury, reprezentuje codzienną niezbędną strawę dla ducha, kiedy tak samo jak ciało nie zadawala się długo jednostajnym, lichym pokarmem, lecz wymaga pożywniejszego i smaczniejszego. Jest to jednak nadzieja wcale niepewna. Zaraz po rozstrzygającej bitwie ubędzie prasie znaczna część tych nowych prenumeratorów, a mało kto przyjmie w budżet stałą prenumeratę. Mogłaby jednak urość ztąd znaczniejsza korzyść, jeżeliby prasa nasza korzystając z chwilowo pomyślnej dla siebie sytuacyi, pomyślała o ulepszeniach niezbędnych. Ale na to się nie zanosi wcale. Dzienniki nasze jak dotąd były niedbale redagowane, tak i teraz noszą na sobie piętno zaniedbania redakcyjnego. Kto wie nawet czy teraz dzienniki nasze nie są jeszcze gorzej niż dotąd redagowane. To pewna, że w tej chwili mniej odpowiadają swojemu zadaniu aniżeli przed wojną, gdyż stały się kroniką pozbieranych bez ładu i skła-

du zapisków wojennych, a zapomniały zupełnie o sprawach krajowych i miejscowych. Każda zatem sprawa wewnętrzna, która potrzebuje zachęty dziennikarskiej, ażeby dostać się na porządek dzienny, skazaną została na odroczenie, a te, które są już w toku i potrzebują tylko poparcia prasy, muszą na to zrezygnować. Najlepszym na to dowodem jest nasza wystawa krajowa, uwzględniana i popierana w prasie lwowskiej tylko o tyle, o ile jedna lub druga redakcya raczy czasem umieścić nadesłany jej w formie gotowego manuskryptu komunitat komisyi wystawowej. Na prowincyi nie ma nikt należytego wyobrażenia, ani o postępie robót na placu wystawy, ani o widokach wystawy, chociaż chodzi tu o sprawę najwyższej dla kraju wagi, chociaż tutaj niejako honor kraju został zaangażowany. Na szczęście sprawa jest tak żywotną, a mimo obojętności prasy, skończy się bardzo pomyślnie i prześcignie nawet oczekiwania. Fundusze na cele wystawy ciągle się powiększają, roboty budowlane na placu wystawy postępują szybko naprzód i już dziś wcale dobrze się prezentują, wystawcy zgłaszają się w wielkiej liczbie, jednem słowem wszystko pozwala oczekiwać, że za kilka tygodni będziemy oglądać we Lwowie dzieło trafnie pomyślane i dobrze wykonane. Zasługę największą około tego dzieła położył hr. Włodzimierz Dzieduszycki były marszałek sejmowy, typ obywatela niezmordowanego w pracy około ekonomicznego stanu kraju. Gdyby wszyscy nasi obywatele z równą gorliwością jak hr. Włodzimierz Dzieduszycki krzątali się około spraw publicznych, Galicya w kilku latach powetowałaby sobie wszystko, co zaniedbała w ciągu lat kilkudziesięciu.

Powiedziałem wyżej, że dużo się u nas drukuje w tej chwili, ale literatura nie odnosi z tego korzyści, bo to są same jednodniówki, traktujące sprawy szybko przemijające i w sposób pobieżny, dziennikarski. Mnóstwo broszur wydano w ostatnich miesiącach, ale żadna z nich nie odznaczyła się jakim niepospolitszym poglądem. Rozeszło się z każdej po kilkadziesiąt egzemplarzy, a reszta spoczywa na półkach księgarskich, zkąd może już wprost dostanie się do praktycznego użytku w sklepach i kramach korzennych.

W takich czasach interes księgarski nie może iść świetnie. To też jedna z najmłodszych księgarń lwowskich (Wł. Zawadzkiego) upadła niedawno, a reszta utyskuje na ciężkie czasy i nie wdaje się w nakłady literackie lub naukowe.

Pisałem już raz, że naszej publiczności przypomniał się po długiem milczeniu całym szeregiem miłych powiastek humorystycznych znany autor „Kłopotów starego komendanta," p. Albert Wilczyński, mieszkający stale w Krakowie, ale głównie czynny dla pism lwowskich. Od poprzedniej wzmianki do chwili obecnej p. Wilczyński napisał kilka świeżych powiastek humorystycznych, a wszystkie niemal podobały się tak jak pierwsze przed rokiem drukowane. Nie potrzeba lepszego dowodu, że autor nie wyczerpuje się i nie popada w manierę. Zawsze przebija się z jego prac świeża oryginalność, zdrowy i bystry zmysł spostrzegawczy, niepospolity dar opowiadania, ujmujący czytelnika swoją prostotą i naturalnością. W powiastkach p. Wilczyńskiego nie ma intryg wyszukanych, wzruszających do żywego komplikacyi, dziwacznych charakterów, w ogóle nie ma żadnego z tych zużytych środków, któremi rutyna powieściopisarska zastępuje oryginalność i pospolite efekta. P. Wilczyński może za mało zważa na rutynę powieściopisarską i z tego powodu w niejednej powiastce nie zadawala czytelnika w końcu tak jak na początku. Nieraz nagle rozcina węzeł powieściowy, choć czytelnik oczekiwał stopniowego rozwikłania, nieraz znika bez śladu ze sceny powieściowej charakter, który w ciągu opowiadania zdawał się być przeznaczonym do odegrania główniejszej a nie epizodycznej tylko roli. Czytelnika nie zadawala takie zakończenie przedwczesne, ale to niezadowolenie świadczy tylko pochlebnie o popularności autora. Czytelnik chciałby chwilę rozstania się z autorem przewlec jak najdłużej, a taki zaszczyt spotyka nie wielu naszych powieściopisarzy. P. Wilczyński jak widać najwięcej obawia się tego, ażeby nie stać się nudnym i dlatego urywa nieraz powieść, zamiast ją skończyć w sposób harmonizujący z ekspozycyą i całem przedstawieniem. Obawa ta zasługuje na usprawiedliwienie, bo powieściopisarz, który zamiast rozrywać nudzi czytelników, podobny jest chyba do lekarza, który pacyenta wpędza w nową chorobę nie wyleczywszy jednej.

Teatr nasz świątkuje w tegorocznym sezonie letnim, ale tylko dla Lwowa, bo dyrekcya urządza po kilka przedstawień w miastach prowincyonalnych i w ten sposób przynajmniej umniejsza nieunikniony o tej porze niedobór w budżecie swoim. W ubiegłym roku mieliśmy podczas lata przedstawienia w ogrodzie jezuickim, gdzie po zbankrutowanym przedsiębiorcy cyrkowych popisów. pozostała na pokrycie długów drewniana buda bardzo niemiłej powierzchowności. W budzie tej na prędce wewnątrz przekształconej. dyrekcya dawała codzienne przedstawienia i podobno tak dobrze na tem wychodziła, że powzięła zamiar wybudowania pięknego teatru letniego w ogrodzie. O ile sobie przypominam, od dziesięciu już lat istnieje ten zamiar i miał kilku przedsiębierców skorych do poświęcenia na ten cel znacznego kapitału, a mimo to zawsze rozbija się w chwili stanowczej. Raz miasto stawia trudności, drugi raz przedsiębierca cofa się, a publiczność czeka i czeka cierpliwie. Budowa letniego teatru byłaby niewątpliwie przedsiębierstwem zyskownem, bo jeżeli przed rokiem przedstawienia w budzie cyrkowej, a przed trzema laty pod gołem niebem na Strzelnicy, ściągały znaczny kontyngens widzów, to przyzwoity teatr letni byłby zawsze zapełniony.

Mamy za to w tym roku nowy rodzaj widowisk ogródkowych, naśladujący widowiska ludowe w wiedeńskim Praterze. P. Miłosz Sztengel, niegdyś dyrektor prowincyonalnej trupy dramatycznej i oddany temu zawodowi z pewnem poświęceniem, przerzucił się teraz na pole praktyczniejsze i założył we Lwowie ogródek z restauracyą, piwiarnią i teatrzykiem dla pospólstwa. Na scenie p. Sztengla popisują się dotąd tylko akrobaci i wędrujące kompanie śpiewaków nazywanych z niemiecka ludowymi, ale p. Sztengel zapewnia, że jest to tylko początek że teraz zależy mu tylko na zwabieniu stałych gości. a gdy to nastąpi, nada całemu przedsiębierstwu wyższy zakrój. P. Sztengel zamierza wtedy urządzić formalny teatr dla sztuk ludowych z niskiemi cenami wstępu. Mamy wprawdzie za mało sztuk ludowych, ażeby wystarczyły na zapełnienie repertoaru osobnego teatru ale p. Sztengel pociesza się, że przekładami dobrych sztuk obcych i konkursami na oryginalne utwory zaradzi brakowi.

B. Ł.

Przegląd literacki.

Stan i Sprawa żydów polskich w XVIII wieku, napisał Władysław Smoleński, Warszawa 1876.

Tak zwana kwestya żydowska, to jest kwestya odrębności tego plemienia, jego stosunków do ludności miejscowej i środków zbliżenia obu, chociaż jej rozstrzygnięcie, a nawet ułatwienie, nie zależy bynajmniej od ludzi pióra, w ostatnich czasach śmielej i otwarciej zaczęła być poruszaną, nawet i u nas. Do niedawnego czasu musieliśmy poprzestawać tylko na dorywczych artykułach dziennikarskich w tym przedmiocie i na poglądach „Izraelity," który nibyto propagując oświatę i ducha obywatelskiego pomiędzy żydami, lubi jednak idealizować swoich spółwyznawców i na każdy głos, wykrywający instynkta eksploratorskie, matactwa i cześć złotego cielca, tak olbrzymio rozwinięte pomiędzy izraelitami, odpowiada zaraz krzykiem o prześladowaniu, nietolerancyi i potwarzy, wywołuje wspomnienia krucyat i inkwizycyi.

W roku bieżącym dopiero pojawiło się kilka dziełek, tłómaczonych lub zestawionych z prac zagranicznych, które stwierdzają, że jeżeli jesteśmy w błędzie co do stron ujemnych ludności żydowskiej, a przedewszystkiem w kwestyi dzikiego i przewrotnego prawodawstwa Talmudu, to zaślepienie takowe podzielają z nami poważni pisarze innych narodowości. Trudno zaś znowu przypuścić, ażeby wszyscy ci autorowie byli kłamcami i potwarcami, a żydzi — niewinnemi ofiarami i spotwarzonymi barankami, że wszyscy chrześcianie dziś jeszcze prześladują i spotwarzają żydów z pobudek religijnego fanatyzmu. Z tych prac wymienimy: przekład dzieła Brafmana „Żydzi i kahały," odsłaniającego odrębną i w celu wyzyskiwania chrześcian pierwotnie urządzoną organizacyą kahałów żydowskich; dalej przekład dzieła dr. Rohlinga „Żyd Talmudyczny," w którem autor, gruntownie obeznany z talmudem, najdokładniejszemi cytacyami i przytaczaniem samych tekstów wystawia we właściwem świetle etykę czyli moralność talmudyczną, która żydom z inowiercami pozwala, a nawet nakazuje postępować jak najgorzej, uprawniając wszelkie nadużycia i przestępstwa jak oszustwo, kradzież, a nawet zabójstwo *goja*, czyniąc z tego nawet cnotę i zasługę. *Z gojem można zrobić wszystko*, zasada ta, oddawna w przekonaniu ludów o nauce talmudu ustalona, a której żydzi gwałtownie i uporczywie zaprzeczają, tymczasem stosując ją w codziennej praktyce w naszych oczach, zasada ta została potwierdzoną i dowiedzioną naukowo. Wyszła także w r. b. w Krakowie podobnej treści broszurka p. t. *Talmud i Żydzi*, zawierająca, oprócz wyciągów z Rohlinga, także wyjątki z gruntownego, hebrajskiemi tekstami opatrzonego dzieła Zareckiego o żydach, które przed czterma laty wyszło w Odesie. Nakoniec do tej samej gałęzi należy i niniejsza książka, o której mówić mamy. Odkładając rozbiór wymienionych uprzednio dziełek do innego czasu, powiemy tu słów kilka tylko o ostatniem, nietylko dla tego że należy mu się pierwszeństwo ze względu na epokę, w której stan żydów i kwestyi żydowskiej przedstawia, jak i dla tego że zawiera ono niejako historyą tej kwestyi w Polsce. Widzimy tu, że już przed 100 prawie laty, w płodnej w pomysły epoce zamierzonej, choć niedoszłej reformy krajowej, a nawet i jeszcze dawniej, byli i u nas także myśliciele, zdający sobie sprawę z doniosłości tak zwanej kwestyi żydowskiej i dążący do pożytku dla kraju przez wyrozumowane rozstrzygnięcie tej kwestyi.

Na początku swej pracy p. Smoleński, z niemałą erudycyą przytaczając źródła spółczesne i późniejsze, kreśli obraz stanu żydów w dawnej Polsce. Tu i owdzie powtarza znane obwinienia, skierowane przeciwko rządowi rzeczypospolitej a właściwie przeciwko szlachcie, która była winną upadku kraju i prześladowania żydów. W tem prześladowaniu, a raczej w ograniczeniu praw ludności żydowskiej (co do miejsca zamieszkania, zatrudnień i t. d.) brało też udział mieszczaństwo, obawiając się konkurencyi żydów, a najwięcej duchowieństwo, z pobudek jak mówi autor, prozelityzmu. Zresztą nieprzy-

chylne postępowanie z żydami uważa autor raczej za skutek niedbalstwa niż za wynik nieprzyjaznego postępowania z powziętej z góry zasady. Co do nas, mniemamy, że jeśli bywały nadużycia, mające pozór prześladowania, to wina takowych spada po części na samych żydów, którzy wywoływali je swojem postępowaniem, po części zaś, na ducha ówczesnych urządzeń i prawodawstwa. Bądź co bądź, w Polsce nie było gorzej żydom niż gdzieindziej, a nawet może lepiej niż gdziekolwiek w Europie; przyznaje to ubocznie w kilku miejscach i sam nasz autor, a nawet, nieco w sprzeczności ze sobą, mówi więcej, a mianowicie, że „z takiego stanu rzeczy żydzi byli zadowoleni" (str. 6). Co się tyczy istotnie wysokich, jak na owe czasy, podatków, które żydzi płacić musieli, po 2, 2½ i nawet 3 złote od głowy, to takowe po części przewaga finansowa żydów czyniła znośnymi, po części zaś żydzi umieli ich unikać przy pomocy zwykłego swego po wszystkie czasy sposobu, ukrywania rzetelnej liczby ludności przez fałszowanie list takowej. Z drugiej strony, niebrak faktów, dowodzących opiekowania się rządu i osób możnych żydami. Tak z powodu pospolitych w wiekach średnich, a nawet i w czasach jeszcze niedawnych, oskarżeń żydów o używanie krwi dzieci chrześciańskich, Zygmunt III, miany powszechnie za fanatyka, wydał mądry i sprawiedliwy przywilej, według którego chrześcianin, oskarżający żyda o używanie krwi lub (zapewne poniewieranie) sakramentu kościoła, powinien dowodzić tej zbrodni z trzema żydami uczciwej konduity, mającymi posesye w królestwie. Gdy żyd zostanie przekonany, ulegnie karze śmierci; jeżeli zaś chrześcianin zarzutu oczywistymi dowodami nie poprze, sam śmiercią skarany zostanie. A kto samowolnie, na mocy prostego posądzenia, żydom gwałt czynić będzie, nie przekonawszy ich prawem, dobra jego ulegną konfiskacie na rzecz komory królewskiej. Gdy w r. 1753 oskarżono w Żytomierzu żydów o zabicie dziecka, dołożyli oni wszelkich starań, ażeby pomieniony przywilej odszukać i wyszukawszy, chowali go starannie, jakby świętość jaką. Statut litewski i obyczaj w koronie dopuszczał wychrztów do praw szlachectwa i posiadania dóbr, tak że aż na sejmie 1764 r. szlachta głośno o to uskarżać się zaczęła. Że nie zapewniono tych samych przywilejów żydom niewychrzczonym, dziwić się niepodobna, gdy jeszcze i za dni naszych niewszędzie żydzi do posiadania ziemi bywają dopuszczeni.

W drugiej połowie swej pracy autor przystępuje do rozważania projektów reformy żydowskiej z czasów wielkiego sejmu i późniejszych. Pierwszym był projekt znanego z prac prawniczych eks-kanclerza Zamojskiego, ale nie w duchu postępowym; pragnął on raczej usankcyonować dawne represye i ograniczenia. Zasługuje na uwagę, że żądał on aby każdy żyd wykazał swój sposób do życia; ubodzy zaś mieli być oddawani do robót publicznych lub całkiem z kraju wydaleni. Środek to, bez wątpienia, za gwałtowny, ale na dnie jego spoczywa to trafne spostrzeżenie, że plagą kraju są nietyle żydzi majętni, ile ubodzy, nieprzebierający w środkach eksploatacyi. Wydane w 1780 i 1782 r. w Warszawie rozprawy o żydach noszą już na sobie cechy postępowe. Autor ostatniej, nie tykając religii mojżeszowej, żąda wszelako zmniejszenia liczby świąt żydowskich, zabronienia odrębnego stroju, krzewienia między żydami języka krajowego i zmiany zajęć, a mianowicie przywiązania i zachęcenia żydów, ile możności, do rolnictwa. Bezimienną tę pracę wydano powtórnie w 1785 r. a 1789 r. przedrukował ją raz jeszcze znany Butrymowicz, poseł piński, dodając od siebie kilka uwag, głównie przeciwko pociąganiu żydów do służby wojskowej, którą to kwestyą radził zostawić czasowi, i zalecając zniesienie kahałów, w których głos opinii publicznej upatrywał główne źródło złego. Wszelako sejmy nie postanowiły nic w tym przedmiocie, a choć sejm delegacyjny chciał skasować kahały, bronił ich Poniński, wziąwszy za to pieniądze od żydów, jak powiada Kraszewski.

Dalej rozbiera autor inne jeszcze rozprawy o żydach i projekta reformy jak Staszyca, Kołłątaja i t. d., wszystkie ułożone w duchu postępowym, dążące do zniesienia szkodliwej odrębności żydów i do zrównania ich z resztą obywateli. Wszyscy ci reformatorowie żądają od żydów ustępstw pod względem ubioru, świąt, koszerów, języka i kahałów; większość, z uwagi na konieczność stopniowego przekształcenia i niedojrzałość mas żydowskich, utrzymuje jeszcze czasowo pewne ograniczenia. Wszystkie te dobre chęci pozostały na papierze. Komisya sejmowa dla rozpatrzenia kwestyi żydowskiej w 1790 r. mianowana, spełzła na niczem. Sami żydzi niebardzo byli chętni reformom; niektórzy zresztą, jak np. rabin Józefowicz, przyjmowali rozszerzenie praw, lecz słyszeć nie chcieli o żadnych ustępstwach. Gdy w 1818 roku ukazały się jeszcze w Warszawie dwa pisemka o kwestyi żydowskiej: jedno przez generała K. p. t. *Aperçu sur les Juifs de Pologne*, a drugie przez J. G. p. n. „O żydach," w odpowiedzi na nie Moses Ben-Abraham ogłosił broszurkę, w której uparcie broni nietylko przesądów religijnych, ale nawet ubioru, pejsów i żargonu żydowskiego, dowodząc że wszystkie te cechy odrębne są potrzebne, gdyż bronią żydów „od fatalnej ostateczności przerobienia się na ateuszów." I niejedyne to zjawisko w literaturze kwestyi żydowskiej, dodaje autor, pisemek w podobnym duchu było więcej, a pośród ciemnego gminu żydowskiego do dziś dnia panuje przekonanie, że lepiej wynieść się do Tataryi, niż obciąć pejsy i brodę. Nielepiej, według zdania autora, byli usposobieni żydzi względem najbardziej postępowych projektów reform z XVIII wieku; przeprowadzenie ich byłoby może popchnęło żydów do tłumnego wychodźtwa. Tak samo, mniej więcej, jest usposobiona masa żydów dla reform i dzisiaj, gdy czas tych reform albo już bezpowrotnie minął, albo też jest przyjaźniejszy, jak kto tę kwestyą rozumie i stosownie do tego, zkąd ma pochodzić i w jakim duchu miałaby być przeprowadzoną ta reforma. Kwestya żydowska pozostała mniej więcej na tym samym stopniu co przed 100 laty, z tą tylko różnicą, że żydzi posiedli wiele praw, a żadnych prawie nie uczynili ustępstw. Ciekawą swą pracę kończy autor niezbyt pocieszającemi słowy Modrzewskiego: „gdy jeden członek ciała trapienie jakie cierpi, drugim miły żywot nie może być."

W.

Nowe wydawnictwa.

Zaproszenie do przedpłaty

na dzieła

Juljana Bartoszewicza

wychodzące w Krakowie, pod kierunkiem

syna Autora.

W skład wydawnictwa dzieł Juljana Bartoszewicza, wejdą tak przedruki znaczniejszych prac autora, jako też dzieła pośmiertne poraz pierwszy z rękopismów wydane. **Po Historyi Literatury polskiej potocznym sposobem opowiedzianej**, znacznie powiększonej i dopełnionej, której tom I-szy już wyszedł, z kolei ukażą się niewydane dotąd czterotomowe: **„Początkowe dzieje Polski,"** największy owoc trudów ostatnich lat życia zgasłego historyka; dalej pójdą w trzy razy większem wydaniu **„Znakomici mężowie Polscy,"** po nich zostająca dotąd w rękopiśmie **„Anna Jagielonka"** i t. d.

Wydawnictwo oznaczone jest na **dziesięć dużych tomów i może być** nabywane w **drodze prenumeraty.** Przedpłata na 10 tomów wynosi rs. 20 i może być składana jednorazowo albo też ratami t. j. przy odbiorze 1-go tomu rs. 4, za 1-szy i ostatni, a przy następnych po rs. 2, z wyjątkiem ostatniego. Z przesyłką pocztową na prowincyi prenumerata wynosi za 10 tomów rs. 22, które mogą być również nadsyłane w całości lub w ratach, a mianowicie: rs. 7 przy zamówieniu, a przy odbiorze tomów: 3, 5, 7 po rs. 5.

Prenumeratę przyjmują znaczniejsze księgarnie miejscowe i na prowincyi.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pannie Kamili P. w Dąbrowie. Każde pismo dla dzieci lub ludu przeznaczone, wtedy tylko odpowiada swemu przeznaczeniu, jeżeli przeczyta je każdy chętnie bez różnicy wieku. Przyjaciel Dzieci w ten sposób staramy się prowadzić i udaje się nam to dosyć, gdyż nawet wiele osób starszych nie dla dzieci go prenumeruje, ale dla siebie. Emilka dla której p. Niemojowski układa szarady jest jego córką; życzenie aby i dla Kamilki jedną ułożył udzielimy mu, a zapewne chętnie je spełni.

Panu Artiurowi H. w Kiryłówce. Numer Tygodnika powtórnie wysłany został. Kalendarz Ungra kosztuje kop. 50, opakowanie i przesyłka najmniej wyniesie kop. 30.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami, oraz kartka z przedrukiem początku powieści pani Orzeszkowej, w którym skutkiem wielkiego pośpiechu w drukarni poprzekładano wiersze.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 23 Іюня (5 Іюля) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 27.

(dalszy ciąg).

N. 16. Suknia z vêtement zapinanem z tyłu, dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 46.

Spódnicę nie dostającą do ziemi zdobi plisowanie 12 cent. szerokie, dwa razy przestębnowane, oszyte u dołu mocną koronką niciana. Vêtement urządzone do zapinania z tyłu przykrawa się podług zmniejszonego formatu Fig. 46; zapięcie sięga 18 cent. po za wcięcie stanu. Dolny brzeg vêtement zakończa plisowanie 7 cent. szerokie, plisa jedwabna w kolorze sukni 5 cent. szeroka i dwa razy naszyta koronka nad plisą i pod plisowaniem. Kokarda podpinająca vêtement z boku ułożona ze skosu materyi 11 cent. szerokiego. Fałdy podpięcia układają się podług znaczków danych na Fig. 46, przez co długość vêtement składa się w dwie fałdy, przykryte kieszonką. Rękawy oszyte plisą jedwabną i koronką.

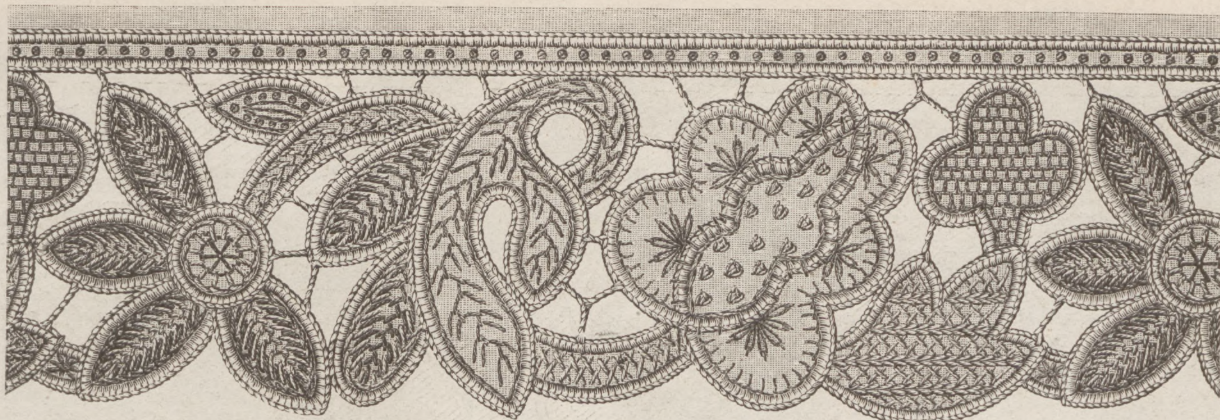
N. 17. Suknia princesse z fałdowanem.

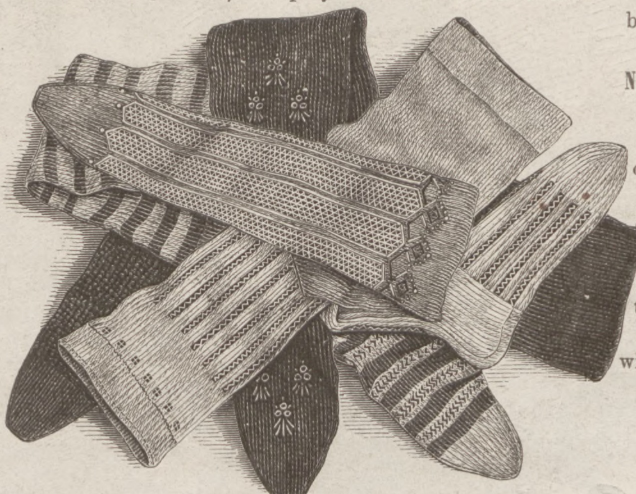
Princesse zapinana z tyłu, odszyta z kolorowej materyi, nie wymaga u dołu żadnego garnirunku. Na szwach zamiast wypustek dany galon jedwabny; wzdłuż brzegu tylnego bryta stanowiącego tren, ułożone jest z prawego boku wachlarzowe fałdowanie, oszyte galonem i plisowaną falbanką, suto rozrzucającą się. Do strojnego wieczorowego ubrania między fałdy można upiąć parę gałązek kwiatów. Mając suknię kolorową jedwabną już znoszoną można ją całą przysłonić gazą i zamiast fałdowania z materyi upiąć draperye gazowe. Na jedwabnym sznurze zamiast wachlarza zawieszona jest kieszonka w guście starożytnym.

N. 18. Ubranie balowe.

Suknia z białego tarlatanu jest suto garnirowana dziewięcioma drobno plisowanemi falbankami, po 9 cent. szerokiemi, mieniącemi się co dwa rzędy z riuszą 6 cent. szeroką. Po nad garnirunkiem przerzucona jest draperya z tyłu upięta nakształt szarf, złożona z dwóch prostych brytów 110 cent. długich, po 60 cent. szerokich złożonych w płaskie fałdy; jeden koniec przewiązany jest w lekki węzeł a u dołu przytrzymany jest bukietem kwiatów. Ażeby falbanki miały mocniejszą podstawę, suknię podszywa się wysoko listwą tiulową. Dla młodych i szczupłych osób nader korzystnym jest rodzaj stanika, wskazany na ryc. 18; na gładkim okrągło wyciętym staniczku, z przodu i z tyłu ułożone są lekko odstające kontrafałdy, zakończony przy górnym brzegu rulonikiem atłasowym i 4 cent. szeroką koronką. Z pod koronki wysuwa się poprzeczne bufowanie z illuzyi, zebrane na ramionach kokardami. Pasek z plis atłasowych. Kilka gałązek kwiatów rzuconych na sukni dopełnia ubranie.

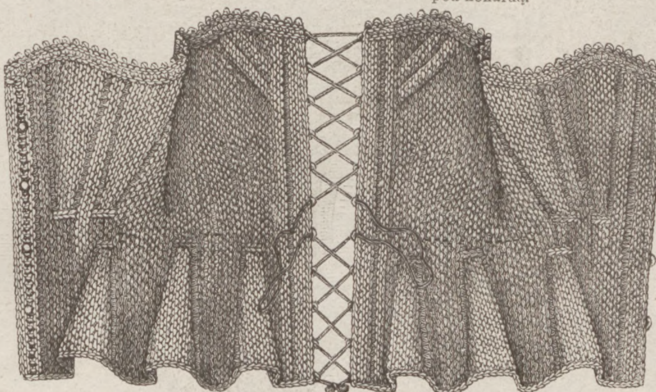

N. 5. Czepeczek negliżowy.

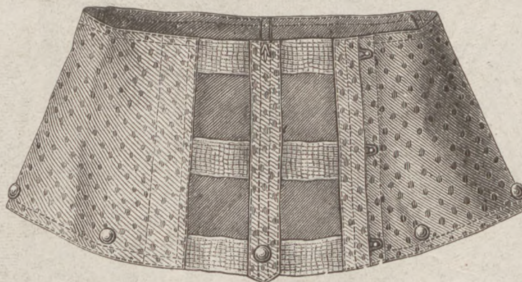

N. 1. Haft na płótnie, do przyozdobienia sukien letnich

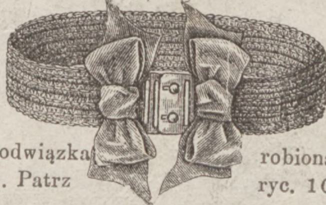

N. 2. Modne pończochy.

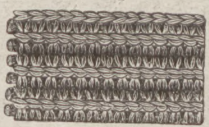

N. 3. Bucik półgłęboki jedwabny, zapinany na patki.


N. 4. Bucik półgłęboki sznurowany pod kokardą.


N. 7. Gorset robiony na drutach.


N. 8. Pas do przypinania spódnic. Krój w dodatku N. XIV, Fig. 47.


N. 9. Podwiązka robiona szydełkiem. Patrz ryc. 10


N. 10. Robota szydełkowa na podwiązkę.


N. 11. Suknia z trenem. Krój na arkuszu, N. XVI, Fig. 50.


N. 12. Spódnica z przyszytym trenem. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 50.

N. 19. Ubranie wieczorowe.

Suknia formą princesse odszyta z krepy, tiulu, gazy lub muślinu kolorowego, zakończona u dołu drobniutkiem plisowaniem ma zamiast draperyi garnirunek naszyty skośnie, składający się z plisowania 5, 7 i 9 cent. szerokiego wszywki koronkowej 5 cent. szerokiej i koronki. Stanik wycięty okrągławo zdobny bertą bufowaną i koronką; takież rękawki.

N. 20. Ślubne ubranie. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—5.

Suknia z ciężkiej materyi zapięta z boku wzdłuż przodów, rzędem guzików, kończących się pod kokardą. Welon z tiulu, illuzyowego 3 metry szerokiego, długości odpowiedniej do wzrostu, tak jednak żeby z przodu spuszczał się po za stan, a z tyłu dochodził prawie do brzegów trenu i był odpowiednio zaokrąglony. Wianeczek mirtowy; takież bukieciki z przodu stanika i przy rękawach. Krój sukni opiszemy w N-rze 28 przy ryc. 19 przedstawiającej taką princesse z przodu.

N. 21. Koroneczka niciana, robota ręczna.

Desenie szerszych tego rodzaju koronek podaliśmy w dawniejszych tegorocznych N-rach, przy opisie roboty. Koronki te za granicą niezmiernie się rozpowszechniły i nie są drogie, u nas bardzo mała liczba osób zna sposób roboty i posiada niezbędne do niej przybory, których nawet w sklepach naszych nie dostanie, chyba sprowadzonych na żądanie.


N. 6. Krawatka koronkowa.

N. 22—24. Sukieneczka spodnia dla małych dziewczynek. Krój na arkuszu N. XVIII, Fig. 56—60.

Taka princesse może być odszyta z kolorowego żagnotu i służyć pod spód pod białą muślinową sukieneczkę; na dnie chłodne bardzo praktyczna jest taka spodnia sukienka z flaneli lub barchanu. Podając krój niezmiernie łatwy nie potrzebujemy już dawać szczegółowego opisu; ramiączka łączące plecy z przodami są po 3½ cent. szerokie a 14 długie. Oszycie stanowią ząbki z tasiemeczki, szydełkowe lub dziergane langetki, jak na ryc. 22. Fig. 60 przedstawia deseń do wyszycia ściegiem cierniowym i muszkami. Na ryc. 23 przedstawiającej sukienkę z przodu, podaliśmy wzór łatwego szlaczka wyszytego krzyżykami.

N. 26—28. Parawanik do zastawiania lampy w pokoju sypialnym. Mozajka z perełek. Krój i deseń w dodatku Numeru VIII, Fig. 26.

Materyał: perełki mleczne białe na tło mozajki, jasno i ciemno-bronzowe na ramkę; rubinowe, szafirowe, zielone i kryształowe na figury desenia; kawałek wstążki lub szyrtyngu; nici N. 80 i 100; długa cieniutka igła do perełek; ramka drewniana (taka jakiej używają w sklepach do nawinięcia koronki lub t. p.), tektura papier naśladu-



N. 13. Suknia z vêtement bez rękawów. Patrz ryc. 18 w N-rze 28. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 24.

N. 14. Suknia princesse z chusteczką koronkową.

N. 15. Sukieneczka dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XVII, Fig. 51 do 55.

N. 16. Suknia z vetement z tyłu zapinanem. Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 46.

N. 17. Suknia z fałdowaniem.

N. 18. Suknia ze stanikiem okrągło wyciętym.

N. 19. Suknia princesse ze skośnem przybraniem.

N. 20. Ubranie ślubne. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—5.



N. 21. Koronka niciana robota ręczna.

Sposób roboty jest już pewno znany wielu z naszych czytelniczek; dawniej robiono tego rodzaju patarafki, wierzchy poduszeczek, łańcuszki do zegarka, bransoletki; oprawy do portmonetek, cygarnic lub t. p.

Sposób roboty wskazuje rycina 27; potrzeba wziąć ramkę drewnianą i dwie przeciwległe jej strony obszyć wstążką lub perkalem tak żeby brzegi wystawały do środka ramki. Za te brzegi czepiają się nitki w równych odstępach przewlekane, stanowiące podstawę roboty które powinny być sztywno wyciągnięte; bierze się do tego N. 80. Zaczynając robotę przeprowadza się nitkę w górze przez oszycie ramki i zamocowywa supełkiem, potem nawlóczy perełkę odpowiedniego do deseniu koloru i wsuwa ją między dwie nitki podstawowe i znów przewłóczy nitką, założywszy ją za nitkę podstawową z lewej strony.



N. 23. Sukienka spodnia dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 22 i 24. Krój na arkuszu N. XVIII, Fig. 56—59.

jący safjan; biały glansowany papier.

Parawanik ten kształtem swoim przypomina starożytnemury z oknami, które tu są naśladowane mozajką perełkową.



N. 25. Blat do małego stoliczka. Malowanie na drzewie. Deseń na Fig. 27.

wskazuje w naturalnej wielkości robotę mozajki. Po skończeniu każdej części mozajki wycina ją się z ramek, pozostawiając na około końce nitek, które służą następnie do umocowania lub wklejenia roboty. Jakkolwiek uklejenie parawanika z tektury jest bardzo łatwe, wymaga jednak pewnej wprawy i najlepiej obstalować go u introligatora.



N. 22. Ząbeczki dziergane do ryc. 23.

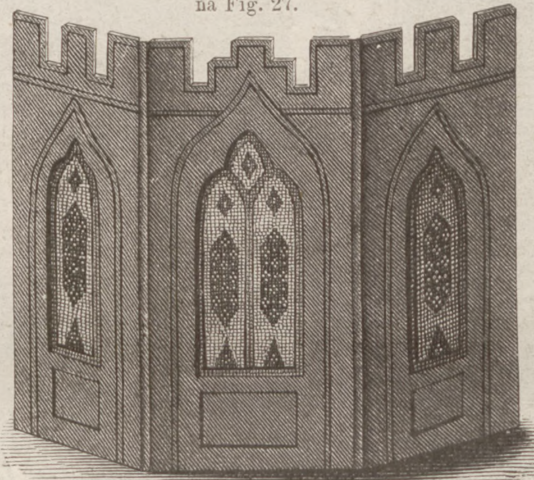


N. 24. Sukieneczka spodnia dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 23. Krój i deseń na arkuszu N. XVII Fig. 56—60.

N. 29. Koszyczek na biżuterye. Deseń rzuciku na Figurze 66—69.

Odrobiony jest z trzciny czarno lakierowanej ze srebrnemi łańcuszkami; tekturowe ścianki powleczone są ciemno-ponsowym atlasem. Wieczko pikowane guziczkami, ozdobione jest rzucikiem haftowanym filozelą, podług fig. 66—69. Kokardy i kwasty w kolorze atlasu.

N. 30. Koszyczek z kanwy panama.



N. 26. Parawanik do świecy lub lampy nocnej. Patrz ryc 27—28. Krój i deseń na arkuszu N. VIII, Fig. 26.



N. 29. Koszyczek na biżuterye. Patrz Fig. 66—69 na arkuszu.



N. 30. Koszyczek z kanwy panama.

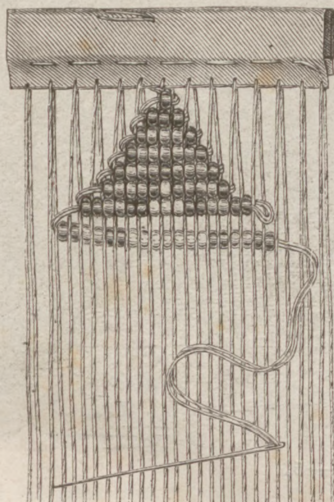
Potrzeba na niego prostego kawałka kanwy 58 cent. długiego, 15 szerokiego, wyciętego z brzegów w zęby $3\frac{1}{2}$ cent szerokie a $1\frac{1}{2}$ głębokie i wyszytego w pasy rozdzielone odpowiednio do zębów, jak to widać na ryc. 30. Po skończeniu wyszycia kolorowym jedwa-biem kanwę załamuje się w fałdy składane w zagłębieniu i przez środek zębów, następnie łączy się poprzeczne brzegi kanwy i dodaje denko owalne 15 cent. szerokie a 30 długie.

(d. n.)



N. 31. Ubranie do pływania dla młodej panienki. Krój w dodatku N. XV, Fig. 48—49.

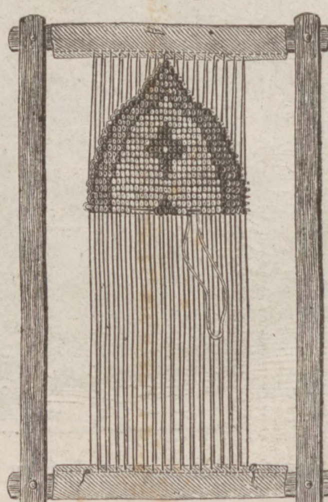
Rycina 27 lepiej niż opis objaśnia tę łatwą robotę; deseń mozajki podaliśmy na arkuszu z krojami na Fig. 26, załącza ona górną część okna wyciętego w trzy zęby; dwa boczne okna są o połowę węższe od środkowego i liczą po 33 perełek na szerokość; środkowe okno liczy 61 perełek, długość zaś nitek wymierza się podług Fig. 26. Tło dane z białych mlecznych perełek, ramki z bronzowych perełek w dwóch cieniach, podłużne figury w bocznych oknach są zielone z białemi kryształowemi perełkami, w środkowem oknie szafirowe; mniejsze kwadraciki są ponsowe a górny w środkowem oknie zielony. Rycina 28 przedstawia w zmniejszeniu górną część bocznego okna, a 27



N. 27. Wykonanie mozajki z perełek do ryc. 26. Nasuwanie perełek.



N. 32. Dywanik przed łóżko.



N. 28. Wykonanie mozajki z perełek do ryc. 26. Patrz ryc. 27. Przewłóczenie drugą nitką.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. IX. Bluzka ze szmizetką do sukni ryc. 16 i 38—40 w N. 28.

Fig. 29. Przód bluzki (A, E, F, G, M, +, :, *)
Fig. 30. Połowa pleców (A, B, C, D, .)
Fig. 31. Połowa karczka z tyłu (C, D, E, F, L)
Fig. 32. Rękaw (G, H, I, K)
Fig. 33. Połowa mankieta do rękawa (H, I)
Fig. 34. Połowa kołnierza (L, M)
Fig. 35. Przód do szmizetki (N, O, Q)
Fig. 36. Połowa pleców do szmizetki (N, O, P)
Fig. 37. Połowa kołnierza stojącego (P, Q)

N. X. Tunika do ryc. 16 w N. 28.

Fig. 38. Zmniejszony rysunek części tuniki, *a* połowa przedniego bryta *b* klin boczny, *c* szarfa.

N. XI. Kaftanik bez rękawów. Ryc. 6—7 w N-rze 28.

Fig. 39. Przód kaftanika (R, S, T, U, W, :)
Fig. 40. Plecy (R, S, T, U, V, :) 1-no załamanie formy)
Fig. 41. Kołnierz szalowy (V, W)
Fig. 39-a— 41-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części kaftanika.

N. XII. Vêtement do kostiumu bretońskiego, dla panienki lat 12—14, do ryc. 34—35 w N. 27.



Fig. 42. Połowa środkowej przedniej części (a)
Fig. 43. Boczna część przodu i boczek (a, b, c, d, e)
Fig. 44. Plecy (a, d, e)
Fig. 45. Rękaw (b, f, g, h)
Fig. 42-a—45-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części vetement.

N. XIII. Vêtement z tyłu zapinane dla niedorosłej panienki. Ryc. 16 w N. 27.

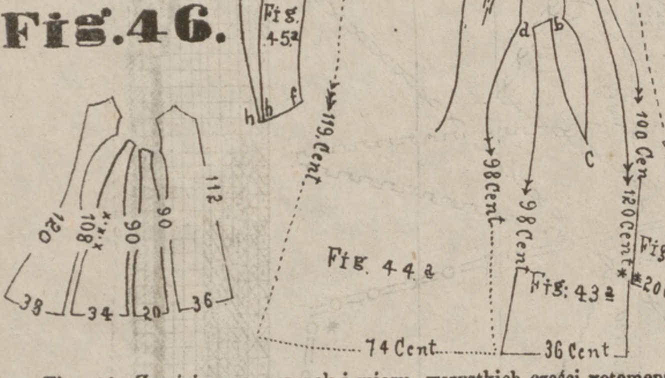


Fig. 46. Zmniejszony rysunek i miary wszystkich części vetement do którego za podstawę kroju służyć może forma do ryc. 25—26 w N. 14 Tygodnika (N. XV kroju).

N. XIV. Szeroki pas do którego przypina się spódnice. Ryc. 8 w N. 27.

Fig. 47. Połowa pasa.

N. XV. Ubranie do kąpieli dla małej panienki, złożone z majtek i bluzy. Ryc. 30 w N. 27.

Fig. 48. Połowa majtek (i, k, l, m, *, +, :, 1-no załamanie)
Fig. 49. Połowa bluzy (.)

N. XVI. Nowy fason spódnicy do sukni, ryc. 11 w N. 27.

Fig. 50. Wzór kroju i miary brytów (:, *)
a połowa bryta przedniego, *b* klin boczny, *c* bryt tylny, *d* boczna część odciętego trenu, *e* połowa środkowej części trenu.

N. XVII. Wycięta suknia princesse dla małej panienki. Ryc. 11 w N. 28 i ryc. 15 w N. 27.

Fig. 51. Przód (n, o, p, s, t, v) 1-no załamanie formy
Fig. 52. Boczek (n, o, p, q, r, u)
Fig. 53. Plecy (q, r, s, t)
Fig. 54. Połowa rękawa (u)
Fig. 55. Połowa kieszeni (v)

N. XVIII. Sukienka pod spód, formy princesse, dla dzieci lat 1— Ryc. 23—24 w N. 21.

Fig. 56. Połowa przodu (1, 2)
Fig. 57. Boczek przedni (1, 2, 3, 4, 5)
Fig. 58. Boczek do pleców (3, 4, 6, 7)
Fig. 59. Plecy (4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 60. Deseń do haftu.

N. XIX. Fartuszek z napierśnikiem, dla małej dziewczynki 32 w N. 28.

Fig. 61. Połowa fartuszka
Fig. 62. Deseń do haftu

N. XX. Rękawiczka ogrodowa. Ryc. 23 w N. 28.

Fig. 63. Rękawiczka (9, 10, 12)

Desenie.

Fig. 65. Czwarta część serwetki z koronki irlandzkiej
Fig. 66—69. Kwiatki do ryc. 29 w N. 27.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. I. Suknia princesse. Ryc. 19 w N. 28 i ryc. 20 w N. 27.

Miara połowy gornej objętości stanu 48, w pasie 34 centymetry.

Fig. 1. Przodek z zapięciem skośnem oznaczonem punkcikami (A, E, F, G)

Fig. 2. Boczek (A, B)

Fig. 3. Pierwsza i druga część pleców (B, C, D, E, F, . 1 X 1 do . 2 X 2)

Fig. 4. Zmniejszony rysunek i miara oddzielnie dodanego trenu (: ,*)

Fig. 5. Rękaw (G, H, I, K)

Fig. 1-a—3-a. Zmniejszony rysunek Fig. 1—3 z dodaniem trenu na F. 4.

N. II. Płaszczyk od deszczu albo do podróży, z peleryną formującą rękawy. Ryc. 1—2 w N. 28 Tygodnika.

Fig. 6. Przodek (L, M, N, :)

Fig. 7. Połowa pleców (L, M, N, *)

Fig. 8. Połowa peleryny (L, M, N, * jedno załamanie formy)

Fig. 9. Kołnierz (: , *)

Fig. 6-a— Fig. 9-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części płaszczyka.

N. III. Kołnierz i rękawy do płaszczyka podróżnego, któren podamy w dalszych N-rach.

Fig. 10 Kołnierz

Fig. 11. Zmniejszony rysunek i miara rękawa (* , :)

N. IV. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8, złożone z majtek, stanika i kurtki. Ryc. 8—9 w N. 28 i 23 w N. 27.

Fig. 12. Połowa majtek (O, P, Q, R, S, T)

Fig. 13. Połowa stanika pod kurtkę

Fig. 14. Przodek do kurtki (U, V, Y, Z, +)

Fig. 15. Boczek (U, V, W, X, *)

Fig. 16. Plecy (W, X, Y, Z, .)

Fig. 17. Rękaw (* , :)

Fig. 18. Połowa marynarskiego kołnierza (+ , .)

Fig. 19. Połowa kieszonki.

N. V. Bluzka z marynarskim kołnierzem dla dziewczynki lat 4—6. Ryc. 12—13 w N. 28.

Fig. 20. Połowa pleców i przodu (a, b, c, d, e, g, h)

Fig. 21. Rękaw (e, f, * , :)

Fig. 22. Połowa marynarskiego kołnierza (g, h)

Fig. 23-a—23-b. desenie na wstawkę i szlaczek haftowany,

N. VI. Vêtement bez rękawów do ryc. 18 w N. 28 i do ryc. 13 w N. 27.

Fig. 24. Zmniejszony rysunek vetement które przykroić można podług kroju do ryc. 38—39 w N. 23 Tygodnika.

N. VII. Vêtement z tyłu zapinane do ryc. 17 w N. 28.

Fig. 25. Zmniejszony rysunek vetement, które dopasować można podług formy do ryc. 10—11 w N-rze 10

N. VIII. Parawanik do lampy nocnej, robota mozajkowa perełkami. Ryc. 26—28 w N. 27.

Fig. 26. Połowa formy na parawanik wraz z połową desenių środkową.

Desenie do ryc. 25 w N. 27 i do ryc. 37—38 w N-rze 28.

Fig. 27. Część szlaku do malowania na blacie od stołu, ryc. 25.

Fig. 28. Połową girlandy do haftu na aksamicie do ryc. 37 w N. 28.